

EPEA  
Almanach



# EPEA

ALMANACH

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICIEGO  
BIAŁYSTOK 2010

Redaktor naczelny:  
Jan Leończuk

Redakcja:  
Daniel Znamierowski

Malarstwo wewnątrz numeru:  
Janusz Andrzejczak

TOM IX

Nadesłanych materiałów redakcja nie zwraca.

ISBN 978-83-60368-67-1

Druk i oprawa:  
Mazowieckie Zakłady Graficzne s.c.  
18-200 Wysokie Mazowieckie, ul. Ludowa 89  
tel. 86 275-41-31, tel/fax 86 275-49-85  
e-mail: drukarnia@mzgraf.pl

# Janusz Andrzejczak

## Ballada o Genku

### *Mieszkanie*

Część mieszkalna, stajnia i kojec bydłęcy...  
Do wszystkiego w kupie mieli lubość Niemcy!

Po stopniach na górę; stopni trzy dwunaste –  
Łatają dziury w dachu chmury pierzaste.

Poddasze nie pamięta co to jest siano,  
Tu się pracowało i z dziewczkami spano.

Przez szpary desek i dziury po sękach,  
Wschód i zachód wpada, mróz i wichur stęka.

W czas wojny zwierzęcej i nieludzkiej męki,  
Gdy wszystko strzelało, wystrzeliły sęki.

W dziury po nich patrzeć i można i trzeba:  
W łąk bezmiar, las wokół, rozlewisko nieba...

Wiosną boćki. I czajki. Żurawie drą gardła!  
Olszyny i wierzby, i we mgłę mokradła.

To widok z góry; cztery stopnie na dół –  
Pali się i kopci! Kuchnia daje czadu!

Ktoś tam zupę warzy z kurzawy i szczawiu,  
Pod dziurawą makatką z haftem „aj law ju”.

Dalej – ganek, spiżarnia, dwa pokoje, wucet...  
W nieczynnym kibelku but, stare onuce.

## Epea 9

---

Obok mumii myszy, gazet, końskich kłaków,  
Coś z pół worka soli – poprawiacza smaku.

Smaku czego? Grzybów, szczawiu i zająca  
(skradł go jastrzębiowi, gdy mu kark przetrzącał).

Każdy śmieć podniesie, rosochaty korzeń,  
Nawet NIC do czegoś przydatne być może!

Zbiera piórka ptasie. Setki piór w wazonach!  
Lotki, sterówki; sroczy puch spod ogona...

I muszle ślimaków, które wpierw zamęczył;  
Lakierem je kiedyś, chce w kolorach tęczy.

Jest też i herbarium, pod oknem, w doniczkach;  
Sto lat temu błagało o jednego łyżka.

A o cóż go błaga, gdzie szmaty i graty -  
Wciśnięty w butelki – Jezus świątkowaty...?

Lokator jest wolny; niczego nie musi!  
O kurz się potyka, pajęczyną dusi.

Ruszać mu nie warto ni ręką, ni nogą.  
Nie ma prądu, wody, prócz niego – nikogo.

*On – Sam*

Ma Genek na imię. Ktosiński – nazwisko.  
Genek – Pieniek; ksywa mówi o nim wszystko.

Cały dzień po lesie, z siekierą i piłą...  
Jest właściwe drzewo? Za chwilę już – było!

Za wino i fajki, chleb, pęto kiełbasy,  
Dba Genek, by gęstwą nie zarosły lasy.

Głównie suszki. Nie tylko! Dąb, sosna, brzoza...  
Razem z drzewem pada na las strach i zgroza.

Tnie je ręczną piłą. Jest wyższa od niego.  
Co nie co ta piła kuma z niemieckiego.

Była bowiem kiedyś – w Reichu, na robotach.  
Ze sto lat ma chyba ta pilna istota!

Gra w niej marsz wojskowy gdy ścina zawzięcie.  
Każdy marsz jest inny, inne – każde ścięcie,

Klocom po sto kilo użycza ramienia.  
Nie ma martwe drzewo litości dla Genia!

Jedna mu żyletka na lat starczy kilka.  
Goli się, by w lustrze nie zobaczyć wilka.

Na dłoni ją ostrzy. Za rok, może chwilę –  
Będzie na niej ostrzył siekierę i piłę.

Bór darzył. Miał grzyby, jagody i drzewo.  
Nie baczył na prawo, bo las był – na lewo.

Spać chodził, gdy ciemno; zimą – o piętnastej...  
Światłem mu – księżycu oko wyłupiaste.

Dnia historia razem z nim się kładzie:  
Z a w s z e kurz, trociny, zapach chleba – rzadziej.

Z poduchy, pierzyny, moc sypie się pierza.  
Bardziej piórka lubi; pościeli mu nie żal.

## Epea 9

---

Nędzy swej się wstydyził, swojego wyglądu,  
Że bywał pod prądem, ale nie miał prądu.

Unikał więc ludzi, bokami przemykał,  
Ten i ów w człowieku, rozpoznawał dzika.

Za grosz w nim nie było kłamcy i oszusta,  
A bezczelnie kłamał że miał cosik w ustach.

Do pracy go brali; głównie – cięcie drewna.  
Czasem wino, fajki... Miska zupy – pewna!

Że tylko za obiad – pomstował na drania,  
Ale jadł łapczywie, nie gryząc – pochłaniał.

I choć krzywda jego o pomstę do nieba!  
Ktoś daje – on bierze, okruszynę chleba.

Tak zimą, jak latem wciąż te same ciuchy.  
Deszcz, śnieg po nich spływał, marły na nich muchy.

Lecz zdjąłby odzienie dla kogoś w potrzebie.  
Zdjąłby też krzyż z niego i wzięłby na siebie.

Kiedyś, miał rodzinę: czworo dzieci, żonę...  
Płciami dzieci po równo były rodzone.

Jak to na wsi: hulały po domach plotki,  
Że wielka to miłość! Pokazywał fotki.

Na nich piękna para, na pewno – szczęśliwa!  
Kurt Vał w „Rzeźni”, skwitowałby to: „tak bywa!”

Tykała kieszonka na ogień i fajki,  
Tykało dla dzieci serce spod kufajki.



Ogród, łąki i las: sosny, brzozy, dęby...  
Do karmienia, dzioby, pyski, ryje, gęby...

Duże gospodarstwo: siedem ha lub więcej,  
Do pomocy ciągnik (sam zrobił); i ręce.

Żona w pracy, w mieście, po pracy – przy dzieciach.  
Ciężko Genek orał, przyziemnie czas leciał.

Popijał gdy dość miał łąk, lasu i rędzin,  
Od dziecka znał wódkę: z ojcem bimber pędził.

Z wyrzutami pierwszy, bez nich – drugi, trzeci...  
Na odlew i z pięści – żonę, później dzieci.

Wszyscy to wiedzieli: Gen nie skąpi kija,  
Nie obija się w pracy, swoich – obija!

Przerażone oczy, łez potok, siniaki...  
Przyjeżdża policja na kolejne draki.

Strach i przerażenie! Ma gdzieś broń ukrytą!  
No i sprawa w sądzie. Uгода z kobitą.

A ślubną miał dobrą i dzieci kochane,  
Żona – laborantka. Przyłożył na ranę!

Dwie dziewczynki: obie, tak śliczne jak grzeczne,  
Chłopak i – najmłodszy – ledwo zęby mleczne.

Bardzo dbał o nich, kochał, przed złem osłaniał,  
Połami kufajki – skrzydłami jak kania.

Wyliniały skrzydła. Wódka: czarna chmura!  
Może to dlatego później zbierał pióra...?

## Epea 9

---

Na jednym weselu Genek popił tego;  
Gdy nigdy nie tańczył, teraz chce marengo.

Wstał, zachwiał się, upadł. Mocny łeb rozwalił.  
Trepan. Coś z pół roku na szpitalnej sali.

Zbyli Ojcowiznę. By nie spać pod płótem,  
Genek dom zbudował wódką, krwią i potem.

Gdy Nowi nastali, wszystko – nowa kartą!  
Po byłych mieszkańcach prawie ślady starto.

Zostawiono zieleń: drzewa, krzewy, zioła,  
Dosadzono tyle, ile ziemia zdoła.

Tylko tam, gdzie warsztat – smary i oleje,  
Nim coś wzrośnie – rdzawi, benzyni, ropieje.

Jakie minerały są w łzach i niemocy,  
Że trawa soczysta wystrzela jak z procy...?

Dziwnie się przysłużył ten cudzy ożenek:  
Dostał rentę, zdziadział. To już nie ten Genek!

Kiedyś w las wyruszył po drewno i chrusty,  
Wrócił... nie rozumie... dom zastaje – pusty!

Nie ma nic prócz swoich papierów i łachów,  
Po co żyć? Dla kogo? Już tylko – do piachu!

Poszła żona z dziećmi do nowego domu,  
Planowała już dawno. Sza! Nic– nikomu.

U ojca kąt znalazł, a ojciec – kaleka;  
W chałupie sam jeden, co dzień kogoś czekał.

Półwidział, kuśtykał, kresu czekał swego,  
Nie miał nogi prawej i oka lewego.

Młodsza siostra spadek psim śwędem zważała,  
Wprost w lawę czułości stopiła się skała!.

Gdy zmarł, tak łyzy lała nabyte w aptece,  
Że przybyło wody w okolicznej rzece.

Sprzedawała wszyściutko, wszystkich wykiwała,  
Za wielkie pieniądze. Genka darmo dała.

Lecz wróćmy: kres spieszyl; i z dziadkiem nie czekał!  
Wziął oko i nogę, całego człowieka!

Pogrzeb. Genek płakał. Był lekko pod gazem.  
Był on, żona, dzieci... Ostatni raz razem...

Raz jeszcze sam został; tylko on i strzecha!  
Nic nie jadł, pił rzadko, papierochy rechał.

Tylko raz w miesiącu wataha się pęta!  
Wóda, mocz, wymioty! Przyszła Genka renta!

Gdy już ani grosza, nie ma Tadzia, Jasia...  
Prócz myszy i muchy, jakby makiem zasiał.

Nie płacił rachunków, przyszli elektryki,  
Światłem – tylko świeca i z pieca ogniki.

Co miał, posprzedawał, a resztę – rozkradli,  
Nie ma drzwiczek w piecu, nie ma w ścianach kabli...

Kiedyś, dwóch przygarnął. Razem jedli, chlali...  
Dwa lata to trwało, aż rentę zabrali.

## Epea 9

---

Trzask prask! – nie ma kumpli! Bardzo ich czas naglił!  
Diabli ich nadali i zabrali diabli!

Oddawał za darmo ostatni kęs chleba,  
Każdy brał, nie pytał, co było mu trzeba.

Nigdy nie miał fajek. Robił sobie skręty:  
Z petów i z gazety, ze zwietrzałej mięty.

Lecz gdy jakimś cudem miał te dziesięć fajek,  
Jedną sobie tylko; dziewięć komuś daje!

Na złom posprzedawał potrzebne i zbędne;  
Ostały się tylko lichtarze kolędne.

W czas świąt robił stroik, cały w sobie malał..  
Klęcząc, zmawiał pacierz i świece zapalał.

I szlochał na los swój, tęsknił za rodziną..  
Żyłami płynęły: krew, rozpacz i wino.

O jego istnieniu dzieci zapomniały.  
Może pamiętały, spotkania się bały..

Oto ojciec, tatuś; tfu! – zwierciadło krzywe!  
Brudny, głodny, brzydki, do tego – pod wpływem!

„Jak w szkole, czy zdrowe” – dopytywał ludzi,  
I by się nie spalić, flaszką zgagę studził.

Miał siostry i braci lecz los ich nie zbratał;  
W jednym tylko Stachu, miał siostrę i brata.

Gdy głód, nic na nogi i kaftan rozpruty,  
Przywoził bratu odzież, jadło i buty.

Na święta dał kawę kilka zupek chińskich,  
Smalec, dżem, makaron, cały czerep świński.

Wziął brata do domu; do miasta, do bloku.  
Łaził w te i we w te, żeby nabić kroków.

Ubrał, umył, uprał, napoił, nakarmił..  
Nie spał. Nie znalazł nocy w świetle latarni.

Szybko zbrzydł mu hałas, porządek i sześcian.  
Uciekł pieszo. Kilosów przeszło dwadzieścia.

Na swoim ład lubił: to piórka powtykał,  
Cegła szła do cegły, patyk do patyka.

W stajni ułożone równo, aż po daszek –  
Będzie z tysiąc ponad, osobistych flaszek.

Szatę miał na sobie zawsze brudną, burą..  
(W czas zgonu ją zdejmą razem z jego skórą).

Dymek i alkohol go żywił i krzepił;  
Nie miał skąd i za co, nie palił i nie pił.

Gdy wypił – bełkotał, oczami przewracał.  
Martwe, same białka... Ale nie ma kaca!

Kiedyś się przewrócił. Drgawki i ślinotok..  
Był trzeźwiutki. Bez żrenic. Nikt nie wiedział co to...

Karetka. Zbadali, zabrali biedaczka.  
Wio alkohol epilepsja! Wio padaczka!

Otdąd, co czas jakiś – w lesie, w domu, sklepie –  
Pada, czka; o wiele gorzej z nim niż lepiej.

## Epea 9

---

Że żył sam i obce mu były kłopoty,  
To psa ktoś podrzucił, to w półżywe koty...

I je karmił szczawiem, ziarnka kaszy dzielił.  
Bóg widział to tylko i Jego anieli.

Z grzybami króciutką prowadził rozmowę:  
Ucinał, a rano – miał w tym miejscu nowe.

Bo kochały go grzyby, rosły zawczasu,  
Las był ich mieszkaniem, razem – częścią lasu.

Nad wschodem, zachodem nie łkał i nie wzdychał.  
Las, to flaszka, fajki, a na końcu – micha.

Stukały dzieciocy: „nie-kra-dnij już drze-wa,  
Ge-nek szko-dnik, de-wa-sta-tor, de-wa...

Lecz on, rżnie nie bacząc i żadna tam siła!  
Żeby morda piła, grzeje zęby piła!

Powstała z pieńków jego dzieła mapa.  
Leśny szedł tym tropem, Genka w pracy złapał.

Znalazł się nieborak w jeszcze większej biedzie,  
Ten co tylko łąził, jeszcze poszedł... siedzieć.

Ale go cofnęli, więc wrócił na laczach,  
Wmiast dowodu zabrał... legitkę spawacza!

Był dowód gdzie piórka, gdzie były ślimaki...  
Szukał długo, szedł szybko. Wrócił do paki.

Na ścianie swej celi dziewięć drzew wydrapał:  
Lasu prawdziwego więzienna atrapa.

Co miesiąc wycinał jedno drzewo kreską;  
Gdy padło ostatnie – poszedł w dal niebieską.

Do domu nie wrócił. Nie było do czego!  
Wszystko porozwalał ten, co był u niego.

Czekał chwilę Stachu, sąsiad był na zwiady,  
Na majową łąkę mgłą opadł strach błady.

Czeka Jezus – świętek; frasobliwe drewno!  
Może się doczeka; ale czy – na pewno...?

Może lasem wracał i dostał ataku,  
I znajdą go trupem na grzybowym szlaku...

Czeka w wejściu piórko. W pajęczynie zwisa;  
Czeka w muszli ślimak i ten, co to pisał...

*Minął rok prawie...*

Maj, czerwiec, lipiec... uleciało lato!  
Bez tchu i bez końca jest czasu maraton!

Z martwych wstała ziemia i las się wysmucił...  
Genek w marcu jakoś, do siebie powrócił.

Tylko Bóg na liniach krzywych pisze prosto:  
Pojawił się Genek – jak prorok, aposto!

Przystał pić i palić, zwrócono mu rentę,  
Kupił chleb lecz najpierw – kupił... Pismo Święte!

W odszukaniu kumpli, pomógł mu Duch Święty!  
Jeden kumpel, drugi, dziesiąty i enty!

## Epea 9

---

Coś jemu mówiło... miał taką potrzebę,  
By się z nimi dzielić – tak Słowem, jak chlebem.

Gdy tak jedli, pili, stali się Wspólnotą,  
Gdy nagle ktoś powstał; nikt nie wiedział – kto to...?

Tuż przed Wielkanocą, świtem, w Wielki Piątek  
Z kurzawy, z butelek, powstał... Jezus – świętek!

Dosiadł się do ławy, cały w pajęczynach,  
I nalał każdemu, jedną łyżkę wina.

Padli na kolana; „Jezu, Mistrzu, rebe...”  
Poznali Go po tym, jak łamał się chlebem...



## Zagubieni

„Zagubieni”... hmmm...

W grzechach, decyzjach, wobec wyborów, wobec różnych racji i nie – racji, wobec rzeczywistości i ułudy; przejawiające się w poplątaniu wobec siebie i innych, wreszcie – wobec tego co by się chciało, a nie można, bo – grzech, bo zdrowie, bo dobro innych, bo – „nie można i koniec”!

Ale ja o zagubieniach – nie takich!

Ja, o dosłownych, o zagubieniach w przestrzeni...

Do Abramowa, nieopodal Gołdapi na północnym wschodzie Polski, tuż przy granicy z Obwodem Kaliningradzkim ruszyliśmy z Błaskowizny nad jez. Hańcza.

Potrzeba było aż kilkanaście telefonów do gospodarza kwatery w której mieliśmy zamieszkać, byśmy trafili wreszcie na miejsce, co zapewne było jakąś zapowiedzią kilku poważnych, mających nastąpić – zagubień.

Po nieco przydługim (*brak czasu w morzu wolnego czasu!*) powitaniu z przesympatycznymi gospodarzami i wypakowaniu bagaży, postanowiliśmy z żoną przejść się po okolicy, rozeznaczyć teren, słowem: rozejrzeć się po mieszkaniu: pokojach (*lasy i łąki*) oraz korytarzach (*drogi, ścieżki i dukty leśne*)...

Kiedy ruszyliśmy w drogę, było już mocno po południu, ale my szliśmy tylko „na chwilę”, więc nie zabieraliśmy żadnego ciepłego ciucha, żadnego jedzenia, nic do picia, ba! – nawet telefonów, o latarce nie wspominając!

W oddali, na zachód, widać było wieżę ciśnień z pobliskiej Gołdapi lecz tylko musnąłem ją spojrzeniem, bo nie było co oglądać. Gdzieś tam w podświadomości zapisało się jednak mniej więcej jej położenie geograficzne i ta przelotna obserwacja okazała się bardzo przydatna!

Po minięciu kilku wiejskich zabudowań, weszliśmy w jakiś czerwony od malin parów. Dojrzeliliśmy w nim kilka ciekawych roślin i owadów, ale jak na Suwalszczyznę – nic szczególnego... Gdy po blisko godzinnym przystanku ów parów stał się jakby mniej czerwony, poszliśmy jeszcze przed siebie i gdy ukazało się wzgórze, posiedzieli-

śmy na nim z godzinę podziwiając łąki i sarny na nich, skubiące zielny przepych lata, po czym ruszyliśmy dalej. Minęliśmy jakieś niedysiejsze PGR-y i pola z żytem.

Pola, pola, pola... tysiące hektarów pól zasianych zbożem, prawie już do żżęcia; falujących, rozśpiewanych skowronkami, pachnących miodem i zaczynem chleba!... Ale gdy się idzie wśród takich łąnów godzinę, w końcu zaczyna doskwierać monotonia i całe szczęście, że Ona i ja, ja i Ona...

Od początku drogi zrobiliśmy łukiem koło 10 km; nic wielkiego, ale też nic specjalnie ciekawego, wobec czego postanowiliśmy wracać.

Ale po co wracać tą samą drogą?

Hola! Rasowy wędrowiec wie, że droga powrotna nigdy nie jest *taka sama*, bo patrzy się na nią od *innej* strony, a *inna strona* zawsze przynosi coś nowego: a to kamień, którego się nie zauważyło, a to jaszczurkę wygrzewającą się na słońcu i pokazującą leciutkiemu wiatrkowi rozdwojony język, a to – cień fioletowy na poboczu drogi, nie wiedzieć skąd...

Ale droga była, jako już rzekłem – monotonna, więc postanowiliśmy pójść na skróty.

Właśnie pojawiła się kapliczka na rozstajach dróg, a w niej – zasłuchana w lato Matka Boża. Przystanęliśmy, pomodliliśmy się i jako że zaczynało już zmierzchać, podjęliśmy decyzje owego powrotu *na skróty*, co oznaczało pójście w przód jeszcze nieco i poszukania do tego łuku – *cięciwy*.

Proste!

Przeszliśmy kawałeczek drogi asfaltem patrząc w lewo w poszukiwaniu owej „cięciwy”, jednak długo jej nie było! Gdy się wreszcie pojawiła, skręciliśmy w miedzę pomiędzy polami. Ale miedza, jak to miedza: jest, nagle się kończy, albo skręca nie w tym kierunku co trzeba, a że tych zakrętasów było co niemiara, we wszystkie możliwe strony, nagle zdaliśmy sobie sprawę z tego, że stoimy pośrodku tysięcy hektarów jednakowych zbóż aż po widnokrąg i z całą pewnością – jeszcze dalej, że robi się ciemno i chłodno, a przed nami kilkanaście kilometrów drogi!

Co robić?!!!

Jeszcze pobiegłem w kierunku grupy drzew widniejących w oddali, bo gdzie drzewa, tam i droga, ale widać zdarzają się na polach drzewa bez dróg, co zdyszany zakomunikowałem już przestraszonej żonie.

Kiedy wyszedł księżyc zobaczyliśmy nagle w jego blasku... gołdapską wieżę ciśnień, ale ze strony absolutnie przeciwnej do spodziewanej!

„Wracamy” – powiedziałem do żony.

„Tą samą drogą!”

„Jeśli odnajdziemy kapliczkę, znajdziemy szczęśliwy powrót...”

„Po polach, po miedzach...” (*była kiedyś taka piosenka*), po ciemku prawie, tylko przy blasku księżycy, dotarliśmy do kapliczki, przy której jeszcze na chwilę przystanęliśmy w podzięcie. Stamtąd, już łątwo, ale na ostatnich nogach, dotarliśmy do naszej kwatery. Tuż przed północą...

Zawsze, zawsze trzeba obierać sobie jakiś punkt orientacyjny! Może to być wieża ciśnień, ale ona ma tę właściwość, że ciśnienie skacze jak pojawia się to tu, to tam...

Może to być słońce, ale ono ma skłonność do odpoczywania za chmurami i czmychania przed nocą; może to być krzyż, kapliczka, świątek przydrożny... ; one zawsze stoją gdzie stały, bo dobrzy ludzie osadzili je na fundamencie swej wiary, ufności, nadziei i miłości do Boga i Jego Przenajświętszej Matki.

Właśnie zadzwonił do nas kolega. Ja na takich ludzi mówię: „wariaszek” (*w przypadku kobiet: „wariaszka”*). To tacy cudownie, przesłicznie poplątani ludzie: z szalonymi pomysłami, euforią w oczach i działaniach, raptusy z energią całkowicie odnawialną i „ekologiczną”, biorącą się nie tylko z wiatru i słońca, ale przede wszystkim – z niepokojnego ducha, który ma imperatyw oblewania kolorami wszystkich odmian czerni, na przekór i pomimo!

„Wariaszek” był młodzieńcem po SGGW, Warszawiakiem. Mieszkał w północnym skraju Puszczy Rominckiej, w jedynym domu jaki tam jest. Robił jakieś badania nad gradacją korników. Był zdecydowanie – „wariaszkiem”, bo komu by się chciało mieszkać w takim miejscu, do którego ciężko dojechać latem, a co dopiero zimą, zresztą nie miał żadnego pojazdu i chodził pieszo, np. do sklepu przez całą puszc-

czę, co zajmowało mu cały dzień; telefon nie miał tam prawie nigdy zasięgu, o Internecie nie wspominając...

„Wariaszek” chciał nam koniecznie pokazać absolutne uroczysko, o którym tylko on wiedział i strzegł go jak skarbu, głównie przed... naukowcami i ekologami, którzy postawiliby tam tablicę, ogrodzili i zgłosili gdzie trzeba, co oznaczałoby, że uroczysko przestałoby nim być i stałoby się rezerwatem czy czymś innym, z tablicą, by nie wchodzić, zachęcającą, by robić akurat odwrotnie!

Jakimś cudem w ten dzień Wariaszkowi udało się do nas zadzwonić.

„Przyjeżdżajcie! Pokażę...” – zacharczał głos Wariaszka, po czym zanikł w odmětach Puszczy, Rosji i pobliskiej Litwy.

„Ale jak jechać?!” – jeszcze zdążyłem wykrzyzczeć do słuchawki.

„... dom... na prawo... wysoki las... na lewo... prosto... na...” – to jeszcze usłyszeliśmy i nastąpiła cisza tak absolutna, jaka może tylko być leśna cisza...

...przed burzą!!!

„Ruszamy! Może zdążymy!” – krzyknąłem do żony.

Wszystko było wg namiaru Wariaszka: była chatka na dole, były strony – prosto, w lewo i w prawo, więc nie można było się zgubić.

Minęliśmy chatkę, wjechaliśmy w lewo, później prosto, zagrzmiało, spadł deszcz, skręciliśmy jak wiodła droga, gdy ulewa rozpruła niebo, wycieraczki latały jak skrzydła helikoptera, świata nie było widać, droga pod górę zamieniła się w rwącą rzekę, samochód z trudem prześlizgiwał się przez coraz większe koleiny i zwały błota, droga się zwężała, nie było pola nijakiego skrętu, nie było sensu jechać dalej, ale nie było też gdzie zboczyć, nic nie było widać, nie można było wykonać żadnego innego manewru jak tylko jazda w przód, więc jechaliśmy jak ta droga nie-droga, rzeka nie-rzeka, wśród puszczy jak odmęty, wśród deszczu tak strasznego, jakby się było pod wielkim wodospadem; woda bębniła w dach samochodu tak, że uszy zatykać, prowadziłem ściskając kierownicę tak, że spod palców wypływały strumienie potu, w strasznym napięciu, kamienie wyślizgiwały się spod kół i uderzały w podwozie, błoto rozbryzgiwało się na boki, na szybko, wjeżdżałem w kałuże, o których nie miałem pojęcia jak są głębokie, jechałem z no-

sem przy samej szybie, nic nie było widać, nic nie było widać, nic nie było widać... było tylko – słycać: grzmot i strach!

Tak! Usłyszałem – strach!

I zobaczyłem go, jak śmierć na grafice Artura Grotgera!!!

Nagle, tuż przed nami wyrastała ledwo dostrzegalna tablica z napisem:

„Россия”!!!

Prawie w tym samym momencie ulewa trochę zelzała i po prawej stronie pojawiła się droga nie-droga, wzdłuż granicy.

Nie bez kłopotów, zjechałem nią w dół na wsteczny i mozolnie, mieląc błoto z kamieniami, ruszyliśmy z powrotem, ale już nie do uroczyska!

Udało nam się dojechać do Wariaszka innym razem, przy dobrej pogodzie i już z nim jako pasażerem, bo spotkaliśmy go kiedyś na dole jak wracał z zakupami...

W tej samej puszczy, mieliśmy podobne, choć „meteorologicznie” – diametralnie inne zdarzenie.

Zawsze uważałem, że mam GPS w głowie. Nie wiem jak to się dzieje, ale długoletnia praktyka łązenia po bezdrożach wytworzyła we mnie jakąś *intuicję właściwego kierunku* i jest ona umiejscowiona we mnie nie tylko w głowie, ale nawet – w obu rękach i to każdej z osobna, już nie mówiąc o węchu i wzroku, czyli – obserwacji.

Jestem też, myślę, dobrym zapowiadaczem pogody. Kiedy wyjdę rano na dwór, dzięki wymienionym „antenom”, prawie nieomylnie przewidzę upał czy burzę i zmianę pogody w ogóle.

Mówi mi o tym wiatr: jego kierunek, jego natężenie, zawartość w nim wilgoci i czego tam jeszcze, sam nie wiem! Mówią mi o tym kwiaty: jak się zachowują, czy są nieśmiałe, czy bezwstydne; mówi mi o tym przejrzystość słońca, co już wie prawie każdy, ale mówi mi też o tym już i sama droga – czy się ścięła, czy czepia się butów, czy jest uległa, czy krnąbrna, czy jest przyjazna, czy chce nas z siebie zrzucić, co czują już tylko niektórzy, a i ja wśród nich.

Umiejętność trafnego przepowiadania pogody ma ścisły związek z orientacją w przestrzeni, ponieważ jedno i drugie składa się na taki rodzaj bliskości z naturą, w której jest się jej integralną częścią. Idzie to tak daleko, że mijany ptak spłoszy się na tyle tylko, na ile płoszy go

ptak większy od niego, ślimak nie chowa się do swego domku na stukot stóp, a pięknooka łania – staje w poprzek drogi patrząc na ciebie i zadając pytania...

Ale tym razem coś zakłóciło to moje z przyrodą zbratanie i gdy po całodziennych trudach wracaliśmy do domu po ścieżkach i duktach leśnych podobnych do siebie jak dwie krople porannej rosy, zachciało mi się naszą drogę powrotu skrócić, czyli – zachciało mi się pójść na szagę, na przełaj i jak tam jeszcze, bo różnie w różnych regionach nazywana jest po prostu – droga na skrót...

Szliśmy, człapiąc już nogami, podnosząc ciężko jedną nogę za drugą, potykając się o korzenie, później – o szyszki, a przy końcu – o karminowy słoneczny prześwit pomiędzy gęstwiną sosen i świerków i nawet już nas nie zachwycała prześliczna aleja starych dębów posadzonych tu chyba kilkaset lat temu przez dziki albo wiewiórki z inklinacjami w kierunku geometrii...

Szliśmy i szliśmy, aż wyszliśmy z lasu na jakieś łąki i ku swemu przerażonemu zdumieniu zobaczyliśmy zachodzące już słońce... nie z prawej, jak miało być, ale – z lewej strony!!!

Nie było tam żadnej kapliczki, ale przezornie, idąc rano w puszcę, wetknąłem na rozstaju dróg – kijek sosnowy, co mi się właśnie przypomniało. Teraz, trzeba było ten kijek *tylko* odszukać.

Po kilku kilometrach marszu, którego siłą sprawczą był już tylko strach, ów skromny kijek został przez nas odnaleziony, co oznaczało jeszcze *tylko* blisko 10 km drogi...

Kijek; skromny kijek uratował nas przed nocowaniem w środku puszczy, jak wówczas, wśród pól – kapliczka.

Kijek i kapliczka: różnica niby to zasadnicza, ale jak w przypadku kapliczki modliliśmy się do Matki Bożej w niej zamieszkałej, tak w przypadku kijka – do Świętego Antoniego, patrona zagubień. Tak sobie myślę dzisiaj, że to On podrzucił nam swój wędrowny kostur...

To było kilka lat temu. Wyruszyliśmy jak zawsze rano, dzień był piękny, czyli – nie za gorący, nie za zimny; idealny na wędrowkę, jak zawsze – w nieznanie!

Doszliśmy do końca długiego jeziora. Sosny, dęby i modrzewie rosły tam te same od stuleci – na ostrych stokach strony prawej i lewej, tej schodzącej do jeziora.

Nie każdy lubi opisy przyrody, więc poprzestanę na opisie najskromniejszym ze skromnych:

Ptaki, motyle, owady o opalizujących pancerzach, ciekawskie ryby wyskakujące z wody, krzyki drapieżnych ptaków ponad gąszczem koron drzew, no i te smugi świetlne, te smugi...!

Jakby z nieba wiązka bożego uśmiechu, jakby Niebo chciało dotknąć dna tej prześlicznej przyjeziornej alei, a w tych smugach: i motyl zatrzepotał, i kłębiły się roje owadów, i brzęczało to wszystko, i bzykało, i szumiało bryzą jeziorną, i łuszczyło się sosnową, pomarańczową korą, treliło ptakiem – trzcinniczkiem w pobliskich szuwarach...

Później jeszcze weszliśmy w teren prawie bagienny na końcu jeziora, bo kto takie tereny zna, ten wie, że one prawie nigdy nie kończą się ot, jakby nożem uciąć, ale jeszcze lubią potaplać się w błotku, poszumieć w tataraku, pozaskrończyć, poczaplić biało lub siwo i pokojarzyć bzykliwie... Takie oto ma bagienne obyczaje większość jezior, chylących się ku swemu końcowi!

Długi kawał drogi lasem, później – najpierw jedno, później drugie rozciągnięte jezioro rynnowe, jedzenie dzikich jabłek ze starej, rosochatej jabłoni rosnącej pomiędzy jednym a drugim jeziorem, później długie, długie przedzieranie się przez trzciniowiska i wykroty niby to nadjeziornej ścieżki, a tak naprawdę – przez jakieś chaszczce, przez gęstwinę kolczastych malin i jeżyn, aż w końcu – wyjście na drogę i choć już nogi bolały, jeszcze postanowienie: jeszcze nad jedno, jedyne jezioro, bo nie jest nam znane, a to wystarczający powód by iść dalej!

Więc poszliśmy. Doszliśmy do niego i stwierdziliśmy, że piękne, cudowne i prześliczne, ale pora wracać, bo zmierzcha już, a droga powrotna – daaaaleekaaa...!

Jeszcze poszliśmy lasami, jeszcze pięknie było, ale już mniej, bo strach, strach jak sobie oczy zaczął zaglądać nam do zatrzwożonych serc, a sowy, jak wiadomo – wypluwają tzw. „wypluwki”, czyli nie dające się strawić kosteczki i sierść myszy, chitynowe pancerzyki owadów i te wypluwki uformowane są w takie czółenka..., tak my, z tego strachu, zaczęliśmy jakby „wypluwać” z siebie czółenka obawy, strachu wreszcie, w którym były niestrawione, nieprzetworzone jeszcze pamięcią i refleksją resztki minionego dnia.

Nagle wyszliśmy na asfaltową drogę, która nie miała prawa tam być i zgłupieliliśmy zupełnie gdzie jesteśmy, w którym iść kierunku, zwariował mi węch i słuch drogi, ręka prawa i lewa, GPS we mnie, wypracowany latami włóczęgi i symbiozy z przyrodą...

„Idziemy w prawo” – mówię do żony.

„Nie, w lewo” – odpowiada.

Poszliśmy w lewo, bo zgłupiałem już do reszty, a z takim – nie było co się spierać; głupiego nie pyta się o drogę po prostu!

Już była noc. Usiłowałem zatrzymać sporadycznie przejeżdżające samochody, by spytać o kierunek, o wieś „X”, ale kto by się tam zatrzymał dla postaci z mroku, która może być uciekinierem z więzienia, może mieć w kieszeni nóż albo zatknietą za pasem siekiere!

Na szczęście, jakaś grupa ludzi akurat szła drogą do swojej kwatery! Spytaliśmy o kierunek...

Szliśmy dobrze!!!

Nie wiem, ile jeszcze było do przejścia, ale koło dziesięciu kilometrów!

Nieomal bliźniaczą przygodę mieliśmy kilka lat temu na Kaszubach: też ni stąd, ni zowąd pojawiła się jakaś asfaltowa droga, która zupełnie pomieszała mi w głowie i gdyby nie pewien drwal... Nie! To nie mógł być drwal!

Jakiś człowiek siedział na kupie drewna i jakoś tak patrzył w torfowisko, jakby było jego domem...

Właśnie z powodu owych torfowisk pogubiliśmy się wówczas, bo tam, gdzie one są, tracę zupełnie rozum, serce i duszę, przestaję być w ogóle człowiekiem; staję się żabą, zaskrońcem, ważką albo przynajmniej – rzadką hubą lodową na zatopionej olsze... Coś mnie ciągnie w głąb, coś mi każe skakać z pływającej kępy na inną kępę, być tęczowym chrząszczem, odurzającym się wonią bagna zwyczajnego; coś mi każe zaglądać w paszcze roszcików i koniecznie oglądać z bliska grupę rudych mchów na pływającym w topieli konarze, bo tam, w tym mchu jest **coś** i to **coś** jest dla mnie **czymś** i ja po to muszę, by dowiedzieć się – **czym**...

Mam tę nauczkę po tych (*i innych jeszcze, a tu nieopisanych*) zagubieniach, by nigdy nie chodzić na skróty, by nie wierzyć do końca swojej intuicji, która bywa siostrą pychy i by nie chcieć wszystkiego



naraz, bo nie da się od razu – ani wszystkiego zobaczyć, ani w ogóle wszystkiego w jeden dzień przeżyć.

Droga, która jest zawsze czekaniem na coś, pełna jest zagubień.

Czyhają one na każdym rozdrożu, między jedną a drugą kępą turzyc, między jedną a drugą szyszką, której nasiona czekają na wymianę pokoleń lasu, między jednym a drugim zaskrończym esem – na mchu, na leśnej ściółce i na tafli wody, między jedną a drugą wypływką wydaloną z trzewi puszczyka...

## Małgorzata Iwanowicz

### Schody

(esej-opowiadanie)

*oto ich bajka –  
rzucimy się na schody  
i zdobędziemy je szturmem*

(Zbigniew Herbert  
*Ze szczytu schodów*)

### Schody

Wąskie schody prowadziły na poddasze. Tam mieszkaliśmy. Tam spaliśmy. Tam też odbywały się najbardziej dzikie zabawy dziecięce. Czy w świadomości osoby niedoroślej istnieje słowo „dzikie”? Tak określa się pierwotny stan natury. To był „stan pierwotny” – świadomość dziecka. Z jednej strony natura kruchego (często niedoskonałego) psychofizycznego wytworu dorosłych, z drugiej – niewypaczone – jak chce Rousseau\* piękno, boskie dzieło. Zapamiętałam to z wykładów o filozofii. To one na pewnym etapie mojego życia stanowiły ważne źródło wiedzy dwudziestokilkulatki. O ile wiedzą można nazwać to, co wiedziałam wówczas, gdy byłam jeszcze studentką.

Kiedy miałam osiem lat.

Przez długi – jak mi się zdaje teraz – czas gromadziłam guziki. Różnie je zdobywałam; zdarzyło się, że i ukradkiem potrafiłam obciąć z kostiumu jakiejś ciotki czy babki. Ale przecież byłam niewinnym aniołkiem, jak mawiała mama! A aniołkom psoty uchodzą na sucho. Gdyby nam jakiś anioł opowiedział coś ze swej filozofii, sądzę, że niektóre zdania brzmiałyby tak, jak dwa razy dwa jest trzynaście – odnotował w swych aforyzmach Georg Christoph Lichtenberg\*\*. Moja

---

\* Jean-Jacques, szwajcarski osiemnastowieczny pisarz i filozof.

\*\* Georg Christoph Lichtenberg, szwajcarski osiemnastowieczny pisarz i filozof.

filozofia życiowa była prosta – zdobyć kolejne atrakcyjne guziki. Przechowywałam je w metalowej puszcze po herbacie zdobionej jakimiś bliżej nieokreślonymi, kolorowymi wzorami. Co prawda puszka była trochę odrapana, ale wydawała mi się piękna. I taka moja!

Któregoś dnia postanowiłam szturmem zdobyć schody. Zwołałam wszystkie podwórkowe aniołki, usadziłam je na kolejnych stopniach pomiędzy pierwszym a drugim piętrem, sama zajęłam miejsce przy oknie na półpiętrze i... rozłożyłam dumnie guziki, wcześniej starannie wyselekcjonowane (wybrałam tylko te najpiękniejsze: porcelanowe, błyszczące, zalotne i frywolne, waleczne i odważne; żeńskie i męskie). Każdemu guzikowi przypisałam rolę. Każdy miał dziś swój dzień. Dzień debiutu. Debiutowałam i ja.

– Uwaga, uwaga. Nadchodzą.

Oto koronkowa dama i jej ukochany – wołałam, dumnie prezentując dwie najważniejsze postacie przedstawienia: ukochaną Natalię (imię po prababci) i ukochanego Waldemara. Aktorzy zajęli miejsca. Księżniczka oczywiście (bo jakby inaczej) na tronie, a jej rycerz obok. Wykonanie tronu zajęło mi kilka dni, w końcu, gdy ma się osiem lat, nie jest tak prosto okleić pudełko po zapałkach kolorową bibułą i przyozdobić świecidelkami. Ale udało się. Tron zajął centralne miejsce w papierowym teatryku, w którym były starannie wycięte okienka (a w nich koronkowe firaneczki), ażurowe mebelki, nawet kwiatki w małym wazonie zrobionym z nakrętki po truskawkowej paście do zębów. No i aktorzy.

Z wypiekami na policzkach prezentowałam kolejnych aktorów: szeryfa (absurdalne połączenie szeryfa z królową!), jego córkę, klauna (równie absurdalne zestawienie!), damy dworu i rycerzy. Aktorzy kłaniali się, przesyłając widowni promienne uśmiechy. Koronkowa królewna (niewielki guzik na stopce obciążony delikatną, gipiurową koronką) w towarzystwie swoich żakardowych dam (guzików z jasno-żółtego, jedwabnego żakardu o delikatnych motywach japońskich) wkroczyła do sali tronowej.

– Poddani! – zawołała, a w sali tronowej, jak i na widowni zrobiła się jakaś magiczna chwila. Zmysłowa cisza. Stan zawieszenia myśli. Powstał ten rodzaj napięcia, który powoduje, że serce zaczyna mocniej bić. Chciałoby się już w tym momencie dotknąć tej boskiej istoty, wchłonąć jej boskie słowa, które miały za chwilę paść.

Ciszę przerwało skrzypnięcie starych, drewnianych, pochodzących co najmniej sprzed kilkudziesięciu lat schodów. Na górze stanął Jasiiek, syn magazyniera. Przez chwilę przyglądał się mi, po czym usiadł najwyżej widowni. Schody ponownie zaskrzypiały pod ciężarem intruza. Ileż one pamiętają tupotu dziecięcych butów! Stare stopnie, wytarte jakby drewno zostało oszlifowane i drewniana poręcz, odchylająca się pod wpływem nacisku rąk; zupełnie tak, jakby nie mogła już wytrzymać tego naporu. Cała była odrapana z farby o orzechowym kolorze. Wyglądała jakby ją ktoś celowo odarł z tej farby, nie doceniając jej uroku. Uroku farby o orzechowym kolorze. Spod niej śmiało prześwitywało takie samo oszlifowane drewno jak na stopniach. O wiele szlachetniejsze od ohydnej farby! Pewnie to robota jakiegoś starszego pana, bo starsi ludzie uwielbiają zamalowywać piękne, naturalne powierzchnie farbami olejnymi. Oczywiście w imię wymiernych, praktycznych korzyści -są w końcu łatwe w utrzymaniu, no i są zabezpieczone! Te drewniane schody przyparowały o dreszcz, choć nie były tak kręte, jak na filmach Hitchcocka. (Kto dziś pamięta Hitchcocka!). Wieczorem, gdy rodzice wracali z pracy, na klatce robił się półmrok. Tylko jedna lampa, właściwie opancerzony lampion (zupełnie niepasujący do reszty) oświetlał schody. W mroku pod schodami, tuż przy wejściu do piwnicy, gromadziły się koty. Pomrukiwały i wydawały dziwne wojenne odgłosy. I ten fetor kociego moczu.

- Poddani! - zawołała ponownie królowa - Przybyłam tu, abyście poznali mojego wybranka. To jest Waldemar - wskazała na stojącego obok królewicza. A on zarumienił się, spuścił głowę i nieśmiało usiadł u nóg królowej, która, siedząc dumnie na tronie, barwnie opowiadała o zaletach wybranka.

Po jakimś czasie dzieci z górnych stopni zaczęły się wiercić. Koniecznie chciały podejść do okna, na parapecie którego rozłożony był mój papierowy teatrzyk. Zapewne ich ciekawość podsycił Jasiiek, który nie znosił konkurencji. Czuł się dowódcą. W końcu padł zarzut, że nie ma generała, nie ma wojska, więc nudy! Niespodziewanie podbiegł samozwańczy wódz bandy podwórkowej, chwycił szeryfa (duży, metalowy guzik na stałej nóżce, taki, jaki nosi się przy dżinsach) i krzyknął: „Poddani! Rozejść się! A śmiał się przy tym tak okrutnie szyderczo, że miałam ochotę kopnąć go w kostkę. Na widowni słychać było gromkie śmiechy i brawa. Nagle ferajna gwałtownie zrywa się ze stopni. Nie-

którzy przeskakują po kilka, wyginając chybotałą poręcz co najmniej o 45%. I głośny tupot małych nóg. Zdawało się jakby schody nuciły żołnierską piosenkę *Znów buty, buty, buty, tupot nóg\**. W Polsce wszystkie dzieci mają buty. A ile dałyby tak dla przykładu afgańskie dzieci za jedną parę porządnych adidasów, którymi można potupać?

Tylko dwie dziewczynki pozostały na widowni. Podeszły do Zosi, dyrektora i jednocześnie reżysera okiennego teatru, i wspólnie oglądały misternie dobrane postacie aktorów.

Od tamtej pory, od chwili debiutu zyskałam kilka osób, wiernych fanów i fanek moich dziecięcych improwizacji, choć kiedy nadeszło soczyste lato, znudziła nam się zabawa w teatr. Opanowała nas mania ruchu. Czasem tylko wracaliśmy do naszego schodowego amfiteatru, choć robiłyśmy to ukradkiem w obawie przed sabotażem podwórkowych wojowników, a wiadomo – wojowniczym dzieciakom nie obca była prowokacja.

Dlaczego nie zostałam aktorką?

Każde miejsce ma swoje schody.

Tylko niektóre mają legendarne, choć nie wszystkie obrosłe legendą, jak te amerykańskie. Małe, kilkudziesięciotysięczne miasteczko Santa Fe na południu USA, o którym śpiewa Jon Bon Jovi, ma takie schody, obrosłe legendą. Co roku odbywa się w mieście Indian Market (indiański targ oryginalnych wytworów rękodzielniczych). Co roku przybywa tu ponad półtora miliona turystów. Część z nich to pielgrzymi udający do kaplicy wzniesionej ponad 130 lat temu dzięki staraniom sióstr zakonnych ze zgromadzenia pod wezwaniem Matki Boskiej Światłości z Loretto. Tutaj zdarzyło się coś osobliwego. Budujący ową kaplicę francuski architekt, Antoine Mouly, nagle zmarł, pozostawiając budowlę bez schodów prowadzących na chór. Żaden z miejscowych cieśli nie chciał się podjąć tego zadania, uznając rzecz za niemożliwą do zrealizowania. Siostronom nie pozostało nic, jak żarliwie modlić się do Józefa, świętego cieśli. Ostatniego, dziewiątego dnia modłów niespodziewanie zjawił się podróżujący na osiołku tajemniczy człowiek z siwą brodą. Podjął się wykonania schodów. Po wielomiesięcznej pracy zniknął bez śladu, nie biorąc zapłaty. Ani tożsamości, ani miejsca pobytu tego mężczyzny nie

\* Z piosenki żołnierskiej Bułata Okudźawy pt. *Piosenka o żołnierskich butach*.

ustalono. Przybył nie wiadomo skąd, udał się nie wiadomo gdzie i zbudował schody nie wiadomo jak i z czego. Schody niezwykle. Wiszące w powietrzu, kręte, zbudowane bez użycia gwoździ i kleju. Wiły się do góry majestatycznie, spiralnie, jakby chciały sięgnąć nieba. Odkryto, że mają 33 stopnie, tyle, ile miał Chrystus w chwili ukrzyżowania. Czy to symbol? Znak Boski? Czyżby to sam święty Józef je zbudował? – pytały Boga zakonnice z Loretto, rozmyślając nad cudem. Jak to możliwe, aby konstrukcja nośna, nie mając żadnego podparcia, żadnego wspornika, utrzymywała swój ciężar (wraz z dobudowaną po latach kutą, masywną balustradą) oraz ciężar ludzi korzystających ze schodów?

My lubimy symbole, wierzymy w magię cyfr... – pomyślałam, kiedy czytałam o cudzie z Santa Fe. Moje kamieniczne schody nie były tak ładne, jak te amerykańskie.

Jasne drewno o widocznym, choć nieregularnym rysunku słojów (lub czymś na ich kształt, od spodu jakby maźnięcia perłowej farby), z lekko pomarańczowymi przebarwieniami wewnątrz, okolone ciemnoorzechowymi obwódkami (może wykonanymi z mango? – niezobowiązująca hipoteza), wygląda jak grubo wyprawiona skóra tygrysia lub mięsista skóra gadzia; napięta, błyszcząca z wyraźną fakturą od spodu. Drewno pochodzące – jak się przypuszcza – z rejonów śródziemnomorskich fascynuje nie tylko niezwykle konstrukcją, do której posłużyło, ale i urzekającą urodą, jedwabistym połyskiem, zupełnie jakby było inkrustowane złotem i przeplatane nieregularnymi paskami macicy perłowej. Całość (masywna, a zarazem lekka) wije się do góry ślimaczo. Idąc po schodach w obydwu kierunkach, ma się wrażenie, że oba skrety (każdy po 360°) przybliżają się do siebie. Niezwykle – pomyślałam, zamykając ostatnio zakupiony album o światowym dziedzictwie kulturowym. Ale czy to jest święte arcydzieło? Dla mnie schody z Loretto zapewne tak.

Inaczej niż wchodzenie po schodach w starej, trzykondygnacyjnej, polskiej kamienicy, choć i ono ma swój urok. I takie schody mogą też zauroczyć. Wytarte deski poszczególnych stopni wymagały już interwencji stolarza. Gdzieniegdzie szpary (a w nich poutykane łupiny po orzechach oraz papierki po cukierkach), otrącone brzegi niektórych stopni, trzeszczących pod naporem butów. Zwłaszcza, gdy zbiegało kilka par nóg naraz z dzikimi okrzykami wojennymi „Huuuuurrrrraaa!!!”

Tego dnia też tak było. Nie miałam właściwie ochoty na nic, chociaż za oknem słońeczko zachęcało do wyjścia, a śmiechy i wrzaski podwórkowej gawiedzi prowokowały.

## Dzwony

Na poddasze dobiegały dźwięki dzwonów kościelnych – kutyh, ciężkich, jakby z epoki brązu. Jakoś źle kojarzą mi się te dźwięki, w końcu dzwon to symbol śmierci. Za każdym razem kiedy kogoś chowali, dzwoniły dzwony. Tak mówiła mi babcia. Ale czy dziecko rozumie śmierć? Czy ma świadomość umierania? Dzwony przywoływały też do kościoła. „Hmmm... Dlaczego nie pamiętam, abym chodziła z rodzicami do kościoła? Nie byłam dzieckiem Bożym?” W czasach pogańskich dzwon odstraszał ukrywające się w świątyniach diabły. Dzieci to też małe diabełki – mówiła moja babcia. To jak to w końcu jest: dzieci to aniołki czy diabełki?

W moim mieście królował diabeł Boruta. Rosły, silny psotnik i figlarz niewiadomego pochodzenia (kolejny sekret!), który w literaturze doczekał się wielu legend. Dzieci lubią tajemnicze opowieści.

W kamienicy mieszkała wraz z mężem starsza pani, profesor historii. Zajmowała cztery pokoje w amfiladzie (w układzie pokoi położonych na jednej osi i połączonych wejściami). Kiedy wchodziło się do ich mieszkania, uwagę przykuwała ogromna powierzchnia – jakieś sto, może więcej metrów kwadratowych. W każdym widzianym na przestrzał pokoju stały jak w prawdziwej bibliotece ciężkie regały wypełnione książkami. Prawdziwy labirynt bibliofilski. Podróż przez taką amfiladę pokoi i książek była dla dziecka długa i fascynująca. Zwłaszcza dla takiego, które uwielbiało zapach starych woluminów, pachnących wilgocią omszałych piwnic, choć wówczas, kiedy miało zaledwie kilka lat, nie wiedziało jeszcze o swoim uwielbieniu; ledwie je wyczuwało zmysłowo. Delikatna woń książek mieszała się z otumaniającą stęchłą starych mebli: komód, etażerek, witryn oraz z nieświeżym zapachem niewietrzonych pokoi. Panował tam niebywały nieład i zaduch. Na stołach leżały porozrzucane opasłe księgi, jakieś nieumyte naczynia, zmięte papiery, nadgryzione jabłka.

Pani Walczakowa (bo tak nazywała się profesor) pozwalała mi w zamian za pomoc w odkurzaniu książek i porządkowaniu mieszkania, oglądać te najstarsze, ponad stuletnie, szcztane po wielokroć tomy o pożółkłych, karbowanych kartkach, postrzępionych brzegach i wytartych okładkach. Ileż magii było w tych księgach! Ileż pięknych, dziś już zapomnianych słów!

„Nasz zamek powstał bardzo dawno temu, kiedy na świecie nie było ani mnie, ani ciebie” – opowiadała mi kiedyś pani profesor, pokazując starodawne ryciny miasta. Od niej dowiedziałam się kim był król Kazimierz Wielki, którego (według legendy) miał uratować miejscowy bies nazwany Borutą (imię od borowego, złego ducha mieszkającego według ludowych baśni w tutejszych bagnistych lasach). Diabeł zwykle jawi się w wyobraźni dziecka jako paskudna rogata, usmolona, włochata bestia z długim ogonem, widłami w łapach o potężnych pazurach (coś a la włochate monstrum, przerażający lykantrop z filmu – ostatnio oglądanego – *The Wolfman*\*), a nie jako dobrotliwy myśliwy, ratujący króla przed bagienną śmiercią. U mnie było trochę inaczej. Wiedziałam (za sprawą mojej sąsiadki), że Boruta to nietypowy diabeł, który może wcielić się w różnorodne zwierzęta: w koguta, królika, psa, kota, a nawet w kaczkę. Do tego stopnia w to uwierzyłam, że przez jakiś czas podejrzewałam każdego napotkanego kota (może stąd uprzedzenie do kotów?), każdego psa o to, że jest diabłem Borutą i unikałam tych zwierząt jak ognia (lub jak diabeł święconej wody). Odmówiłam też babci zjedzenia wcześniej ulubionej kaczki ze śliwkami czy też pysznego skądinąd rosółu z koguta. Oczywiście w obawie, żeby nie stać się „diabelskim nasieniem”, jak o niektórych dzieciach mówili starsi ludzie. A kiedy mama, zawzięcie szukając czegoś, mówiła, że diabeł nakrył to ogonem, podejrzewałam, że gdzieś w ścianie czy w szafie mieszka u nas diabeł. W każdym razie dłuższy czas miałam w swojej małej (czy raczej młodej) głowie diabłomanę, dopóki nie zrozumiałam, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

---

\* Premiera filmu *The Wolfman* (Wikołak) w reżyserii Joe Johnstona odbyła się w Polsce 2 lutego 2010 r.; światowa – 10 lutego 2010 jako remake *Wilkołaka* George’a Wagnera z 1941 roku. W rolę wilkołaka wcielił się Benico Del Toro.



Tego dnia też podejrzewałam diabła o złą robotę, o diabelskie sztuczki. Bo skoro jest tak dobry, jak głosi legenda, to dlaczego go nie uratował? Mieszka przecież po sąsiedzku.

Kilka dni temu w Krakowie.

Był 2 kwietnia 2005 rok, godz. 21.37. Prefekt domu papieskiego w Watykanie ogłosił śmierć osiemdziesięcioletniego Papieża, Jana Pawła II, Ojca Duchowego wszystkich Polaków. Niecałą godzinę później potężnym rykiem odezwał się najszlachetniejszy polski dzwon, szesnastowieczny Dzwon Zygmunta. Z wawelskiej katedry obwieścił światu smutną nowinę. Płakałam 2 tygodnie jak dziecko, które straciło ukochanego tatę. Widok szarpanych wiatrem kartek na trumnie zmarłego i chusteczka, którą kardynał kamerling\* zakrył twarz Ojca, na stałe wbił się w moją pamięć jak raniący kolec. Rozdrżany drżeniem potężnego serca dzwon zajęczał spiżowo, a mocny dźwięk, tubalnie odbijając się echem od wieńca, roznosił się metalicznym pogłosem po Krakowie; z impetem wdzierał się do uszu mieszkańców, powodując drżenie i wibracje błon bębenkowych. Chwila zamarła. Zamarło miasto. Żałobny koncert trwał. Rozkołysany brązowy kolos niskim basso profundo śpiewał rekwiem dla Wybrańca odpoczywającego u boku Ojca Niebieskiego. Długo jeszcze dźwięczała mi w uszach pieśń żałobna, jakże misternie wykonana przez pośrednika między ludźmi i Bogiem. 27 lat wcześniej też zabił ten sam dzwon, zwiastując początek pontyfikatu Wielkiego Rodaka.

Czy znów zabrzmi w najmniej oczekiwanej chwili?

Kiedy jest się dzieckiem, chwile nie są zauważalne; dzieci mają niewielkie poczucie upływu –jącego czasu. Żyją niemal w niekończącej się terażniejszości (podobnie jak ich mniejsi bracia). Liczy się tu i teraz. Nie mają też bliżej określonego wyobrażenia przyszłości, za dużo energii pochłania im ulubiona czynność – zabawa. To ona kształtuje ich wyobrażenie o życiu, buduje ich świat wewnętrzny. Te „małe płomyki” (określenie Jana Pawła II), mali smakosze życia mają nadmiar energii i nieustanną potrzebę relaksacji, stąd chłoną jak gąbki przy-

---

\* wł. Cardinal Camerlingo – katolicki kardynał, zarządzający Kościołem i Watykanem od śmierci papieża do wybrania nowego

jemność, jaką daje zabawa, najbardziej fantazjotwórcza tak ruchowa, jak i intelektualna aktywność podejmowana w dzieciństwie.

Umówiłam się z Kasią na skakanie w gumę. Był to czas podwórkowych (a nie komputerowych!) zabaw, kiedy dzieci cały swój mikroświat budowały na wolnej przestrzeni, pomiędzy trzepakiem a śmietnikiem, czas „donaldówek” (gum do żucia z komiksami w środku), herbaty w musztardówkach i pysznej „oreżady” w brązowych butelkach z białymi korkami na tzw. „zamyczkę”. Wtedy do zabawy wystarczyły nam guziki, patyczki, kamyki i kapsle, a mięśnie rozwijaliśmy na podwórkowym trzepaku, robiąc fikołki. Dzisiaj dzieci są bardziej wymagające. I bardziej hermetyczne, a mniej podwórkowe. Widzę to po swoich synach, którzy godzinami wysiadują przy komputerze. Dzieci doby wirtualnej z syndromem RSI\* i skrzywionymi od siedzenia w jednym miejscu kręgosłupami, z zaburzeniami widzenia i percepcji są często aspołeczne – izolują się od dorosłych i od samych siebie. Nierzadko nie mają pojęcia co daje zabawa z rówieśnikami na świeżym powietrzu. To dorośli zgotowali niedorostłym ten los, sobie zapewniając dobrobyt. Dobrobyt czasu i materii.

W ramach rozwijania skoczności i zwinności (choć wówczas – a było to ponad dwadzieścia pięć lat temu – nie miałam pojęcia o tym, że cokolwiek rozwijam) uwielbiałam grę w gumę. Jak zwykle bawiłyśmy się „w tydzień” (każdy dzień miał swoją kombinację podskoków), gdy nagle wpadł z patykami w rękę Jasiak otoczony bandą wyrostków (wrócili z „wojny”) i zarządził „dwa ognie”. Nasz podwórkowy wódz mimo swoich dziesięciu lat wyglądał imponująco (z obecnej perspektywy): rośli szatyn z blizną na czole o dość delikatnych, niemal dziewczęcych rysach. Ta blizna dodawała mu nieco chłopiękości. No i te włosy kędzierzawe, nie dające się w żaden sposób ujarzmić, jak i ich właściciel. Wiecznie niepokorny. Nieposkromiony od zawsze, odkąd pamiętam, a mieszkłam w kamienicy od urodzenia.

Po obu stronach ustawiły się kilkusobowe grupki i na przemian zaczęły rzucać w siebie piłką. Parę razy udało mi się uniknąć zbitcia. Nieraz złapałam też piłkę, czym zaimponowałam Jaśkowi, ale kiedy

---

\* To zespół urazów wywołanych jednostronnym przeciążeniem kończyn górnych na odcinku dłoń-bark, które objawia się m.in. bezwładem lub do tkliwy, piekący bólem przedramienia.

właśnie to on mnie trafił, myślałam, że kopnę go w kostkę. Na szczęście szybko znudziła nam się ta gra i mogłam się wykazać bystrością w kolejnej zabawie – ulubionej – w chowanego.

Dzieci często się nudzą i nie tylko w czasie deszczu.

Nuda wpisana jest w ich jestestwo. Nudzą się zwłaszcza wówczas, gdy ich wyobraźnia jest rozleniwiona. Nuda i lenistwo to dobra para. Działa jak lek nasenny i powoduje apatię. Olbrzymia część populacji naszych potomków naznaczona jest tą cywilizacyjną ułomnością. Oczywiście są dzieci, które nigdy lub rzadko się nudzą, a ich wyobraźnia coraz podpowiada im ciekawe formy rozrywki. Dzisiaj (niestety!) częstym sposobem na domową stagnację jest przyłożenie bratu w głowę lub walnięcie go pięścią w plecy. Paradoksalnie agresja urozmaica stan zawieszenia w próżni bezmyślnego nic nierobienia i wyzwala w dzieciach energię (niekoniecznie tę dobrą!). Ale czy to ciekawy sposób na odwieczny problem rodziców?

Kiedyś dzieci się mniej nudziły, bo były razem, w kupie, a wiadomo – w kupie siła! I moc przewycięzania nudy.

Wewnątrz piwnicy unosił się paskudny zapach stęchlizny z rozkładu nadpsutych kartofli, wilgoci i pleśni, która oblepiała rogi odrapanych ścian, tworząc tuż przy suficie grzybicze, czarno-zielone kolonie piwnicznych agresorów. W zatęchłej aurze starych bunkrów (bo tak je nazywaliśmy) czuć było tak wysokie stężenie zarodników tych podstępnych mikroorganizmów, że trudno było oddychać. Ciężkie powietrze zawisło nieruchomo pod sufitem. Brak słońca i dojmujący chłód jak w górniczej sztolni. A jednak tam najbardziej lubiliśmy bawić się w chowanego, w tych zimnych betonowych, śmierdzących piwnicach. Było ich kilka, taki labirynt podziemnych pomieszczeń, które w świadomości dzieci jawiły się jako niedostępne, wywołujące gęsią skórę zamkowe lochy. Jak w prawdziwej bajce czy w legendzie.

Dzieci lubią się bać. Dziwne.

Lubią mroczną atmosferę niedostępnych, ciemnych miejsc. Dziwne.

Może dlatego dzisiaj moje dzieci uwielbiają horrory? W końcu nie ma już piwnicznych bunkrów, a świat stał się mniej zewnętrzny, mniej jawnie atawistyczny, a bardziej wewnętrzny, hermetyczny, wirtualno-kinowo-telewizyjny. Dzieci (dawniej i dziś) lubią się straszyć, choć sam strach przeraża ich, a jednak same w sobie go wywołują.

Może w ten sposób oswajają swoje lęki? Może temu służył dziecięcy masochizm lękowej rozkoszy czerpanej z zabawy w ponurych piwnicach? Lęki z pewnością mają swoje plusy!

Starsi ludzie opowiadali, że tu, w naszej poniemieckiej kamienicy, było w czasie wojny więzienie. Ile w tym prawdy? Nie wiem. Z pewnością zasłyszane historyjki dodawały pikanterii zabawom buszującej w piwnicach gawiedzi. Największa z nich znajdowała się pod frontowym budynkiem. Prowadziły do niej kilkustopniowe, szerokie schody betonowe. To one stanowiły często miejsce dziecięcych udawanek – zabaw w kierowanie (kierowanie różnymi przedmiotami, którymi rozgrywało się scenki podpatrzone u dorosłych, niestety, nie zawsze normalne i moralne, czasem wręcz nieobliczalne).

Jasiek zarządził chowanego.

Pamiętam te podwórkowe wyliczanki, które tak mocno zagrzewały do rywalizacji.

*Pałka zapalka, dwa kije,  
kto się nie schowa, ten kryje!*

I już wszyscy rozpierzchli po okolicznych piwnicach. To były najlepsze kryjówki. Ciemna przestrzeń pełna tajemnic i niepotrzebnych przedmiotów do recyklingu. Intrygowały zamurowane przejścia, które wcześniej łączyły sąsiednie kamienice, stanowiąc piwniczny labirynt. Mnóstwo mrocznych, ponurych zakamarków, przesmyków z girlandami pajęczyn, zagraconych komórek z ciężkimi drzwiami i maleńkie okienka, przez które wrzucano węgiel.

*Stare ciemne piwnice  
Kryją w sobie zakazane tajemnice  
Stare śmierzące piwnice  
Tu się krzyżują wszystkie granice.\**

Tutaj też dzieciaki bawiły się w wojnę. Tędy też wiódł szlak podchodów. Tutaj zabawa w chowanego miała sens. Nasz sens – dziecięcy.

Tego dnia też tak miało być.

Po zabawie w zbijanego byłam tak obolała, a do tego wściekła na Jaśka za te trafienia piłką, że szybko pobiegłam do swojego miesz-

\* Fragment piosenki.

kania na poddaszu. Reszta dzieci też rozeszła się do swoich domów. Królowała pora obiadowa. Podwórko opustoszało, a z okien roznosiły się cudowne zapachy grochówki, pomidorowej, kapuśniaku. Dzisiaj jest pora lunchu i już tak nie pachnie. Nie unosi się po podwórku woń rozmaitych potraw.

Po południu nasz wódz zarządził zabawę w chowanego. Chłopaki, zanim pobiegli na obiad, długo się naradzali. Ciekawa byłam, co tam knuli, ale głód był silniejszy, poza tym mój dzienny limit wytrzymałości tyranii podwórkowego bossa wyczerpał się.

- Zosiu - zagadnęła mnie pani Walczakowa, gdy biegłam po schodach na górę.

- Dzień dobry pani pro.. pro... fesor... - wydukałam, dysząc jakbym miała astmę.

- Zosiu, może przyszedłabyś do mnie po południu i pomogłabyś mi trochę?

Jeszcze nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy z dzikimi okrzykami wbiegali na górę chłopaki (po naradzie). Oczywiście był z nimi Jasiak, który nie omieszkął pociągnąć mnie za warkocz. Gdyby nie pani profesor, kopnęłabym go w kostkę.

- Mogę przyjść - odpowiedziałam pewnie i uśmiechnęłam się na myśl, że nie dam Jaśkowi satysfakcji szukania mnie, choć wewnątrz aż kipiałam ze złości.

- To jak odpocznesz, przyjdź. A potem pokażę ci piękny album. Rano go znalazłam - dodała, a po chwili zamknęła drzwi.

- Dobrze - odparłam i pobiegłam dalej.

Czy zastanawialiście się kiedyś, skąd bierze się niecierpliwość? Dlaczego towarzyszy jej rwący jak potok gniew? Dlaczego życie nieustannie podaje nam próbę panowania nad sobą, nad swoimi emocjami?

Granice cierpliwości dziecka są tak słabo zaznaczone, że aż niemal nikłe.

Dziecko chce tu i teraz! Stąd złości się często, szybko przekształcając przestrzeń wokół siebie w prawdziwe pole minowe, przez które dorosłym tak trudno przebrnąć. Im młodsze dziecko, tym większy złośnik. Niekiedy nawet świętego może wyprowadzić z równowagi. Czy dojrzały cholerycy to takie nieposkromione dzieci? Tacy trochę niedorośli ludzie? A może to dzieci przerośnięte swoimi emocjami?

„Winniście przeto dokładać starań, żeby wasza wytrwałość była jak najpełniejsza; wtedy będziecie rzeczywiście doskonali, nienagan- ni, wolni od jakichkolwiek niedoskonałości”<sup>\*</sup> – głosi Biblia.

Wobec tego dziecko jest niedoskonałe i często naganne.

Prawda, że cierpliwości uczymy się przez całe życie. Prawda też, że przez całe życie jesteśmy niecierpliwi. Czy to znaczy, że ukryte w nas dziecko nigdy nie dojrzewa?

Nie mogłam doczekać się, aż pójde do pani Walczakowej. Niecierpliwiłam się z dwóch powodów. Po pierwsze chciałam, aby było już po- południe. Oczywiście, żeby zrobić Jaškowi na złość i nie wziąć udziału w planowanej zabawie piwnicznej. Po drugie, nie mogłam doczekać się wspólnego oglądania albumów. W tym momencie, zaraz po wezbraniu wulkanu gniewu, wizyta u pani Walczakowej była bardziej nęcąca niż chowanie się w piwnicach i narażenie na znalezienie przez samozwań- czego wodza. W końcu byłam nieformalną przywódczynią dziewczyn!

Po latach już wiedziałam, na czym polega urok starych albumów. To magia dawnych lat, magia pożółkłych, w odcieniu sepia, jakby po- krytych ochrą fotografii. To miejsca i twarze zamknięte w archiwum przebrzmiałych zdarzeń: twarze pań i panów retro, w filcowych kape- luszach i niemodnych melonikach. Twarze ludzi, których już nie ma.

Dlaczego nie pamiętam, aby ktoś z domowników oglądał ze mną książki, nie mówiąc już o albumach?

Czy dlatego nie mam dziś mocnej więzi z rodzicami?

W każdym razie przed laty uwielbiałam przeglądać książki z pa- nią Walczakową.

Tego dnia też tak było.

## Epilog

Pani Walczakowa poczuła się trochę gorzej. Położyła się więc, a ja zabrałam się za odkurzanie książek. Ukradkiem zerkałam na album, który leżał na szafce przy łóżku. Zastanawiałam się czy to ten, który wspólnie obejrzymy.

---

<sup>\*</sup> Biblia Warszawsko-Praska, List św. Jakuba 1,3-4.

Jakie to ładne słowo – WSPÓLNIE. Ile rzeczy można robić wspólnie z dzieckiem! Ile wspólnych przeżyć! Wspólnie, czyli ja i ty. Ty i ja. My.

Dzisiaj „Cała Polska czyta dzieciom” (także moim!) we wspólnej trosce o rozbudzanie ciekawości poznawczej małych obywateli. Kiedyś było inaczej. Wspólne czytanie (czy oglądanie) książek było niemodne, ale dzieci (młodzież także) same sięgały po książkę, która stanowiła jeden ze sposobów spędzania wolnego czasu. Była metodą na samotne chwile. Dziś czytanie w ogóle nie jest *cool* czy *trendy* mimo wszystkich czytelnicznych akcji świata. Czy współczesne dzieci nie odczuwają potrzeby czytania czy też (jak stwierdził Daniel Pennac, francuski pisarz) mają prawo do nieczytania\*? W końcu książka to takie mało zyskowne przedsięwzięcie; mało korzyści wymiernych daje! A dziś, w dobie konsumpcji, o zysk idzie zwłaszcza. No i oszczędność czasu! Jesteśmy ciągle w biegu, nie mamy czasu na odpoczynek, zwłaszcza z książką w ręku. Ponadto czynność czytania wymaga zaangażowania, a my, współcześni, nie lubimy się angażować. Jesteśmy też wygodni, a nieczytanie jest wygodne! W końcu skoro dorośli nie czytają, a jak wiadomo niedaleko pada jabłko od jabłoni, to dlaczego mają czytać dzieci?!

Nasłuchiwałam głosów ze schodów.

Nic jednak nie było słyhać, jakiś pojedynczy szmer, stukot, skrzypnięcie klucza w zamku, trzaśnięcie drzwi. Nagle ożywienie. Tupot małych stóp. Dzikie okrzyki. „Tak – pomyślałam – to oni! Pędzą do piwnic!» Przybliżyłam się do drzwi. Nasłuchiwałam. Niby nie było mi żal, że sama też nie zbiegam z góry. Czekał w końcu na mnie album i czekała kolejna opowieść o tajemnicach nasze-go świata. A jednak.

Chłopcy i dziewczyny z impetem zbiegali z góry. Jasiak – jak zwykle – wskoczył na poręcz, aby zjechać na półpiętro i tam, na zakręcie pomknąć jak strzała w dół. Nabierał niesamowitej prędkości. Pozostali zbiegający z wojennymi okrzykami chcieli mu dorównać. Przeskakowali po kilka stopni naraz, chwytając się poręczy. A ta wyginała się i napinała jak cięciwa w łuku, nadając zjazdowi Jaśka niesamowitej prędkości. Chłopak przechylał się coraz to na boki. Wtem. trzask! Pękła poręcz. Nie wytrzymała naporu tyłu ciała. Huk o ziemię. Koniec szaleńczego zjazdu. Jasiak leżał na dole cały we krwi. Chłopcy zamarli

\* Zob. Daniell Pennac, esej pt. *Comme un Roman*, Paryż 1992.

w bezruchu. Przywarli do ściany jakby się do niej przykleili. Naprężyli ciała. Ucichły piski, wrzaski. Tylko jęk rozniósł się po kamienicy. Potem krzyki i przeraźliwe wołanie o pomoc. – O Boże! Ratunku! Ratunku! Pomocy! – słysząc było z dołu.

Rzuciłam album i wybiegłam na półpiętro.

Spojrzałam w dół. Nasz wódz leżał w bezruchu. Zamarłam i ja. Nie rozumiałam, co się stało, choć widziałam złamaną poręcz. Przybiegli jacyś dorośli. Pochylali się nad Jaśkiem, który leżał dziwnie pokrzywiony, w nienaturalnej pozie. Słysząc było płacz, przeraźliwe krzyki. Ten widok uwolnił irracjonalny strach. Bałam się, że zaraz sama spadnę. Nie mogłam oddychać i kręciło mi się w głowie. Stałam w bezruchu, blada, spięta, spocona. Część dzieci uciekła.

TEŻ UCIEKŁAM.

Dzieci boją się widoku krwi.

Przeraża je każde zadrapanie, otarcie naskórka. Nie mówiąc już o pobraniu krwi. Ośmiolatek odczuwa swoje lęki (przed ciemnością, przed zwierzętami, przed ogniem, włamywaczami itd.) już z mniejszą intensywnością, ale jednak wciąż je ma. Ja miałam lęk przed krwią. A tu tyle krwi. Nasz podwórkowy wódz cały broczył krwią. Wyciekało z niego życie.

UCIEKŁAM.

Minęło kilka dni.

Mama mówiła, że Jasiek skręcił kark i dziś jest jego pogrzeb.

Serce mocno mi biło. Ręce pociły się. Nie mogłam podnieść głowy, ani pozbierać myśli. W pokoju pana magazyniera unosił się dziwny zapach: duszących lilii wymieszany z bliżej nieokreślonym aromatem leśnym (jodły? sosny?) oraz intensywną wonią powstałą od zapalonych świec i kadzideł. Wonią ofiarną, wróżebną, modlitewną. Taką, która odurza, wdzierając się siłą w nozdrza i nieproszona – wprowadza w stan otępienia.

CHCIAŁAM UCIEC.

Mama wbrew mojej woli pociągnęła mnie do przodu. Zbliżyłyśmy się do najgorszego miejsca. Na katafalku stała drewniana trumna, a w niej leżał nieruchomo Jasiek ubrany w granatowy garnitur i białą koszulę. Wyglądał prawie tak samo, jak podczas ostatniej akademii. Tylko te białe rękawiczki na rękach. A w nich książeczka do nabożeń-



stwa i różaniec. Zupełnie tak, jak podczas komunii. Jasiiek modlił się. Ale jak mógł modlić się skoro już nie żył!? Nie ruszał się nasz (pierwszy raz pomyślałam o nim NASZ) wódz!

„Nie było pieniędzy na remont starych schodów” – dyskutowali dorośli. – Co oni teraz zrobią? – pytali siebie sąsiedzi. – Zostaną sami – skwitował ktoś z tłumu żałobników. Czy to schody brutalnie odebrały mu życie? Czy schody mają taką moc?

Dzieci z wypiekami na policzkach przyglądały się całej ceremonii. Były zaciekawione i poruszone. Młodsze stały z boku. Niektóre ssały kciuk. Inne plątały się między dorosłymi. Przytłumione głosy, łkania, ciche modlitwy, które przypominały pojękiwania lub wedyjską mantrę Om. Pokój aż dławił się od monotonnych głosów czarnych żałobników, kipiało czernią tej pogrzebowej chwili, a nawałnica kolorów nocy przyprowadzała o dreszcz smutku i depresji. Było niemal jak w mrocznych opowiadaniach Edgara Allana Poe\*, który po latach dał mi do myślenia taką oto myślą: *Odległość między życiem a śmiercią jest nieokreślona. Dlatego nikt nie wie, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.*

W dniu pogrzebu Jaśka tę odległość wyznaczył mi brzeg trumienego łoża.

Na znak zadumy niektórzy żałobnicy opuścili głowy, inni badawczo przyglądali się głównemu bohaterowi tego dnia. Obserwowałam ich bezwiednie, ukradkiem, przeważnie z profilu. Profil był bezpieczny i dodawał odwagi, zwłaszcza, gdy oko nie było jeszcze wprawne. Patrzyłam bez żadnej głębszej refleksji.

Żona magazyniera była jakby nieobecna, owiana bólem, niema z udreki. Jej szklane, prawie przezroczyste oczy (takie, jak oczy Jaśka, które ujrzałam podczas nocnego koszmaru) utkwione były w jeden, bliżej nieokreślony punkt. Umarło jej jedyne dziecko. Zmiażdżona niewyobrażalną męką kobieta jakby skurczyła się w sobie, zmalęła. Cierpienie dławilo gardło i wykrzywiało jej twarz w dziwny grymas. Wydawała się o wiele starsza, jakby przez te kilka ostatnich dni przybyło jej co najmniej dziesięć lat. Stała w bezruchu, jedną ręką opierając się o rant trumny. Nie płakała (dziwne mi się to wydało!).

\* Edgar Allan Poe (1809–1849) – poeta i nowelista amerykański, słynący z horrorów i kryminałów.

Nerwowo gniotłam w rękę kartkę, a do oczu napływały piekące łzy, które zacierały mi twarze zgromadzonych ludzi. Zanim mama przesunęła nas dalej, pospiesznie włożyłam kartkę do trumny.

*„Jasiek – przepraszam, że chciałam kopnąć cię w kostkę”* – napisałam. I UCIEKŁAM.

Pragnę zwrócić wszystkim uwagę na psychologiczny aspekt udziału dziecka w tak traumatycznej ceremonii, jaką jest pochówek. A może trzeba oswajać dzieci z umieraniem? Ale jak oswoić ze śmiercią kolegi? Jak usunąć (na zawsze!) jego postać z pejzażu dziecięcego świata?

W chmurach powstała maleńka szczelina, przez którą sączyła się bladoróżowo-błękitna smuga światła, rozpryskując po niebie tysiącem przezroczystych, lśniących nitek. Z nitek spadały drobinki srebra i kryształki. Pięknie mieniły się na tle maleńkich, kwarcowych obłoczków tak, jak iskrzy się piryt pod wpływem uderzeń krzesiwa. Gdzieś powstawały mleczne, opalowe gejzery przedziwnego, nieziemskiego światła, które opływało postać Jaśka. Postać tak piękną i niebiańską, że nie mogłam oderwać od niej oczu. Miał pogodną twarz, opromienioną nieco nostalgicznym uśmiechem. Uśmiechał się do mnie. Stąpił wolno po schodach wijących się do góry i znikających w podniebnej przestrzeni. Przestrzeni zagęszczonej perłowo-białymi obłokami, które jakby otulały nogi Jaśka. Odwracał się co stopień i wciąż się uśmiechał. I te jasne, błękitne, szkliste oczy! Był w nich spokój. Była radość. Prowadził go siwobrody starzec o ultra jasnych, popielatych blond włosach, odziany w zgrzebną, białą szatę. Biła od niego przedziwna, nadludzka mądrość. Wyciągnął rękę do Jaśka. Przez moment połączyły się ich myśli, porozumiały się energie, a obie postacie zaczęła oplatać mistyczna światłość z opalowych gejzerów. Nagle światłość przysłaniały pierzaste chmury. Powstała ciemna, przepastna dziura, coś na kształt leju zawaliskowego. Utworzyły się dwie przestrzenie: światłość i ciemność, które rozdzielały niebiańskie schody; ponad nimi promieniała świetlistość i rozbrzmiewał chór aniołów, poniżej – czeluść kirem się okryła i zapadła cisza. W ciemną jamę wpadają drobinki srebra i kryształki, wirując coraz mocniej i mocniej. Nabierają kosmicznego tempa. Wtem Jasiek zatrzymuje się... waha się... w końcu zawisnął na krawędzi schodka. Potem błysk na niebie...

grom... porażenie. Nie zdążył złapać ręki starca. Z zawrotną prędkością leci w dół... i runął gwałtownie.

Rzuciło mną o tapczan jakbym miała konwulsje.

Przebudziłam się nerwowo i usiłowałam natychmiast wstać, lecz nie mogłam złapać równowagi. W końcu udało się oprzytomnieć. Pobiegłam do pokoju chłopców. Spali spokojnie. Odruchowo odgarnełam im włosy, mimo że nie chciałam ich obudzić.

Każde schody mają swoją tajemnicę. Sekret naszych kamienicznych schodów Jasiak zabrał ze sobą w jakiś daleki, bliżej nieokreślony świat – irracjonalny, lecz silny mocą religii byt. Byt absolutny – nieograniczony, wieczny, doskonały. Swoisty dom poza domem. Dzisiaj bardziej enigmatyczny. W tamtych czasach mający wyrazistsze kształty; bardziej wiarygodny, bo mniej było wątpliwych. Świat tak bardzo różny od niepełnego, małego, spontanicznego bytu dziecka.

Jasiak odszedł do lepszego świata, jak mówiła moja babcia. Do lepszego świata odszedł nasz podwórkowy wódcz. Wraz z nim odeszło moje dzieciństwo. Pozostał koszmarny sen o spadaniu w dół i myśl: „To nieprawda, że wszystkiemu winne były ONE – schody! To ON – Boruta był winien.» Przetrwały też dziecięce wyrzuty sumienia i lęk przetrwać. I jeszcze naiwne pytanie: Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego.

W moim nowym, dorosłym domu nie ma schodów. Nie ma też czego zdobywać szturmem.

*W tym samym czasie  
na obu półkulach ten sam dzwon  
odprowadza  
odchodzących na zawsze  
(Ryszard Mierzejewski Ten sam dzwon)*

## Krystyna Konecka

### Theatrum funebris

Tu, u Piotra i Pawła. Pod październikowym  
niebem Krakowa żegnam cię, mężu, hetmanie.  
Po nic mi czarny przepych. I kopii łamanie  
u stóp castrum dolores, i ten purpurowy

aksamit katafalku. I pieczęć herbowa  
skruszona. I wymowne miecza zawieszanie  
nad grobowcem. bo oto ja, Krakowska Pani,  
jak inne – nie wspomogłam twej linii rodowej.

I myślę tu o tamtych rozpaczach majowych,  
gdy na Litwę z Krakowa kondukt pogrzebowy  
wiódł, żegnając Barbarę, najsmutniejszy z królów.

Taż sama droga, choć odwrotna. Ale bólu  
łzy inne: oni byli wzajem miłowani.  
My – sobie narzuceni – tylko przywiązani.

## Uśmiech Cypryanny

Jest ostrożny. Śle sygnał nieświadomiony  
maską stężącej twarzy. W końcu nie na co dzień  
przed tajemniczym okiem pozować przychodzi  
z mężem i panienkami. Chociaż z innej strony

patrzac – ta dłoń łagodna i upierścieniona  
tuż przy dłoni mężczyzny zaświadcza o zgodzie  
i dumie. Nic, że suknie uwłaczają modzie  
od Hersego. Są za to swojskie i kresowe.

Jakaż znikomość wiedzy. Nadinterpretacja  
czasu (miejsce z monidłem, to jasne) i akcji.  
Z krawędzi kadru spadam w przepaść wyobraźni

ginąc we mgłę rodowych dziejów. Choć wyraźnie  
śle swój uśmiech daremny w sepii zatrzymany  
do spóźnionej prawnuczki prababka Cypryanna.

### Zawsze obcy

Przywieramy do ciebie, zwęglonej i krwawej.  
Zawsze obcy kosmosom. Nigdy bliscy sobie.  
Rozśpiewani od święta, na co dzień w żałobie  
po wróblach pochowanych w dziecięcej zabawie.

Nie dotrzeć nam donikąd w spopielonej trawie.  
Nie przepłynąć do źródła, co monolit żłobi.  
Odpychasz, żeby zmusić do powrotnej drogi.  
Zabijasz, żeby przyjąć. Przyjmujesz łaskawie.

Gwiazdo mrocznych galaktyk. Pod gasnącym słońcem  
przecież szumią nam lasy. I śniegi płonące.  
A stada głodnych wróbli zawsze pod oknami.

Nie wystarczy modlitwy, by między słowami  
zamknąć miłość, i ptaki, i niebo, co płacze.  
Czyżby jeszcze w nas było za mało rozpaczy?

## Kręgi piekła

*Alinie Midro, która odnalazła nazwisko krewnego na liście szakańców „zwolnionych z rozkazu niemieckiego” – do Ponar*

Jaki piękny ten lipiec... Rozszepowane brzozy  
witają nas, szczęśliwców z rodzinnego zjazdu.  
Wczoraj posadziliśmy wśród druściańskich chwastów  
brzożki pamięci. Dzisiaj milczymy ze zgrozy

w kręgach piekła Wileńskiej Golgoty. Gdzie deszcze  
zawodzą niemilkającym trenem nad losami  
ofiar bez imion. Tylko przypadek czasami  
pozwala czyjąś postać odszyfrować jeszcze.

Zapamiętajcie. Jedna z tych garści popiołów  
– Piotr Szczemirski, kierownik kołtyniańskiej szkoły.  
Akowiec. Za dywersję – w lochu na Łukiszkach.

W Ponarach strzał w tył głowy dostał od szaulisa...  
Lecz pozostał. Przystojny, pośród krewnych, z boku  
na fotografii z Druścian z dwudziestego roku.

*Ponary/Wilno, lipiec 2008*

## Danuta Bartosz

### Zatrzymać się

Zmieniłam bieg życia  
sprawiedliwości nie zatrzymałam  
pędzę do mety  
zwycięzca odbiera nagrodę

Naciskam pedał gazu  
paliwa zapewne wystarczy  
uzupełniam rosą troski

Zbliżam się do Ciebie  
czekasz  
abym poznała  
Twoje Obietnice



## Tęsknota słowa

Słowo  
przychodzi z nagłą  
z misją  
i przesłaniem

Jest powietrzem  
pozwala żyć  
póki pragnieniem  
wypełniają się tętnice tęsknoty  
Jeśli ma duszę  
nakarmi głodnego  
w wolności

Słowu  
rzuconemu na wiatr  
nie wyrastają skrzydła

## Papuzki nierozłączki

Wierność  
cień korony drzewa  
idąc za krokiem przyjaźni  
usłyszy jej szept  
nie nagradza się sama  
ma wartość  
jeśli jest wspólnym  
pragnieniem  
i nadzieją

Gdzie się myśli serca nie zgodzą  
tam wierności i przyjaźni nie ma

\* \* \*

Byłeś  
świerszczem grającym o zmroku  
światłem  
wędrującym po ścianie poranka  
dębem  
w naszym ogrodzie

Cisza spadła  
kamieniem

\* \* \*

Słucham ciszy ścian  
które  
niedawno  
odbijały Twój głos

Chwytam  
Twe dłonie w marzeniach  
biegnę z Tobą daleko

choć jeszcze  
jeden raz  
popatrzeć na siebie

jak kiedyś

\* \* \*

Skąd czerpać siłę  
aby biec dalej  
wiara w siebie  
uciekła daleko

Wspólny album  
utracił żywe barwy

pod maską uśmiechu  
niewiarygodny ból

Dokąd prowadzi  
samotność  
która weszła tak nagle  
a której nie znałam

## Irena Batura

### Przemijanie

*Pamięci giserów i młynarzy spod Gruszek*

Nie kłaniają się nam trawy  
w drzewach grają krople deszczu  
Niebo zeszło do wąwozu  
ołowiano – sine w wodzie  
zielono – rude w oczeretach  
jesienne  
Pieciovka przemyka między skarpami  
jak muzyka między wierszami  
to wdzięcząc się zakolami  
to przyśpieszając  
bo Kanał Augustowski na nią czeka  
kusząc łąką Piecią  
Trochę wcześniej  
grobla ją buntuje  
– *powstrzymaj się na chwilę*  
Brnę po zbutwiałych liściach  
przemarzniętych ziołach  
w poprzek rzeki  
jak dawni mieszkańcy  
mający jednak inne cele  
Oni – giserzy, młynarze  
Częściej niebo oglądali  
u swych stóp  
niż nad głowami  
i mieli swe nazwiska  
Wasilewscy, Fajngoldowie, może jeszcze jakies  
ale odeszli z pamięcią pradziadów  
współczesnych sąsiadów  
dosyć odległych

Coś jednak tam musiało być  
bo diabeł straszył w starej wierzbie  
Wierzby już nie ma  
Co się z diabłem stało  
nikt nie wie  
Pamięć o zakładach żyje tylko w archiwach  
w grobli żelazno-żuźłowej  
i poniszczonych drewnianych palach  
wbitych w dno rzeki

*8 listopada 2010*

## Inna pieśń

Krowy przyprowadziły dziadka z pola  
*Hej Dunia, Dunia*  
Chwiało się dziadkowych dziewięćdziesiąt lat  
*Hej Dunia w prawo, hej Dunia w lewo*  
Jak tu wina nie wypić  
kiedy wnuk postawił  
*Hej Dunia*  
Nie rozumiejąc ukraińskich nawoływań  
patrzą smutno  
Były zawsze polskie słowa  
Ale na trzeźwo  
Dusza dziadka szczęściem pijana  
potrzebowała innej pieśni

*19 listopada 2004*

## By chronić szarą godzinę wspominał

A rok był tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siódmy  
Wysoki próg izby  
odgradzał od reszty świata  
i niebezpieczeństw  
Szara godzina nadchodziła  
wcześniej  
Droczyła się trochę  
z małymi okienkami  
Po udoju  
płonący knot lampy  
pełgającym światłem  
spychał ją za piec  
za święty obraz  
pod łóżko  
Nie wychodź ty szara godzino  
aż do dnia przyszłego  
bo tak było zawsze  
Aż w zimowy zmierzch  
chłopcy od elektryka  
wkręcili żarówkę  
Szara godzino  
skryj się w naszych sercach  
bo za piecem pajęczyny  
i za świętym obrazkiem  
a pod łóżkiem buty stoją  
Błyszczące oczy chłopców  
czekają na uznanie  
A mnie żal

*październik 2002*

## Dziwak jestem

*Mikołajowi Usowiczowi rocznik 1910*

Wyjmuje dębową skrzynkę z ziemią  
Na wieczku napisy  
– Hołynka (tam pogrzebani ojciec, pierwsza żona  
i trzech braci, na granicy polsko-radzieckiej  
celnicy w woreczkach złota szukali)  
– Rygałówka (tam grób matki)  
– Mostowlany (prochy dziadka)  
– Bielsk Podlaski (grób szwagra ks. Wacława Łosowskiego)  
– Sulęcín (mogiła szwagierki)  
– Darłowo (teścia)  
Spocznie wraz ze mną  
u boku drugiej żony  
Odznaczenie za rok 1939  
nie cieszy  
bo cóż ja mogę  
W Dniu Wszystkich Świętych  
staję na augustowskim cmentarzu  
stamtąd syn mnie wiezie na granicę  
przy słupku zapalam znicze  
tym którzy leżą czterysta metrów dalej  
Spoglądam na wschód i marzę  
po przekroczeniu granicy życia i śmierci  
minę granicę przestrzeni i czasu  
Generał Franciszek Kleeberg  
znów zaprosi młodego harcerza  
do auta  
i podwiezie z Grodna do Łabna  
gdzie miał dworek  
Stamtąd już blisko do Hołynki  
To znowu Gintowt-Dziewałtowski  
naczelnik Kanału Augustowskiego  
zabierze mnie – nauczyciela



i Wacława Konopackiego  
właściciela fabryki dykty z Mostów  
na parowiec „Dwernicki”  
i popłyniemy Niemnem pod Słonim  
polować na kaczki nad Szczarą  
Wracam do teraz  
Jeszcze raz rzucam spojrzenie  
na południe i wschód  
żegnam wszystkich świętych  
których zostawiłem pod Lwowem  
we wrześniu 1939  
w czas jego obrony,  
w łagrach Komi, gdzie wytrzymałem cztery lata,  
i na zesłaniu na Kazachstanie  
Do zobaczenia

*11 października 2010*

### Modlitwa z Kurianki

Zapach macierzanki wabi trzmielę  
Szłam za trzepotem ich skrzydeł  
na górę  
Od zachodniej strony  
zdawała się być stożkiem  
Od południowej – podwójnym  
Z trawy mrugały ciemnymi plamkami  
drobne kwiatuszki świetlika  
Myślę – dobry lek na oczy  
Te nie opierają się przestrzeni  
Wzrok leci daleko po wieże kościołów  
w Nowym Dworze, Różanymstoku, Lipsku  
Wiatr okręca się o głazy  
i opada ku trzem krzyżom  
na rozstaju  
Pamiętce carskiej tolerancji  
z 1905 roku  
Później porusza trzciny  
nad wywierzyskiem  
Dawno temu król August  
pił z niego wodę  
i posilał się na kamiennym stole  
W 1940 roku rozbito go na budulec  
schronu linii Mołotowa  
Nie ochronił go drewniany słup z 1832 roku  
stojący na straży źródła  
Zafrasowanego świętego Jana Nepomucena  
tak dawno zgarnął z niego czas  
że nie pamiętał go strażnik  
dziadkowych pamięci  
pan Edward Snopko z Kurianki  
Mówił – święty Jan  
a góra – Mohlica  
z udareniem na Mo

Żegnali się na niej ludzie  
prawosławnym krzyżem  
i wznosili ku niebu  
trzykrotne Alleluja  
Krzyczę modlitwę przeciw wiatrowi  
– Panie zachowaj ten obraz z dzisiaj  
na wieki

*7 sierpnia 2010*

## Largo spod Prostek

*Małgosi Pawłowskiej*

Pierwszego dnia lata  
drewno pachnie woskiem i pszczołami  
Rydzewo faluje  
pasemkami wzniesień  
jak we fryzurze modnej dziewczyny  
tuż po wielkiej wojnie  
Zielone fale na matce ziemi  
przytrzymuje kościół  
drewniano – pszczeli  
a wieżę wbija się w błękit  
W jego wnętrzu  
dziękujemy za cud  
jednania ziemi z niebem  
Człowiek układający weselne obrusy mówi  
– budowla zadziwia a dźwięk organów bardziej  
Organista  
Zagra dla wędrowców  
Ponad stuletni instrument  
wziął głęboki wdech  
ziemię otuliła fuga Bacha  
Wnętrze świątyni  
objął marsz weselny Mendelsohna  
Largo Haendla  
wypłynęło ponad wieżę  
słysząc je było później  
w lesie Kosówka  
gdzie z mogiły  
292 polskich dusz  
ofiar z lat 1943–1944  
wznosiło się ku niebu  
w tempie larga  
z pól wsi Bogusze

odchodziło tysiące istnień  
Żydów, Polaków  
i z mogił pod Prostkami  
już za dawną niemiecką granicą  
podnosili się dostojnie nasi  
Aż ostatnie tony larga  
odbiły się od drewnianych ścian  
kościół w Ostrykole  
i przebrzmiały w jego popsutych organach  
Obok w wielkich dębach  
ponad trzystuletnia pszczoła  
ma wartę  
i słyszę jak szmerem melodii larga  
przeprasza  
za tysiące przerwanych istnień  
i całe Mazury tęsknoty

*22 czerwca 2010*

### Liczby

*Janowi Dusynowi po stracie córki Grażyny Gęsickiej*

Żyłem na siódmym piętrze  
Wokół rozciągało się  
Siedem razy po siedem dachów  
bloków czteropiętrowych  
Stawałem w oknie  
Siedem dni w tygodniu  
Wypatrując żywych ludzi  
Nikogo tylko dachy  
Siedem razy po siedem  
Po siedmiu latach zdecydowałem  
Wyjść oknem i poszukam  
każdego dnia siedmiu tygodni  
Rozmyślałem o tym skrócie  
ostatniego dnia depresji  
Przyjechała córka  
– Siódemka nie jest szczęśliwa  
Zamieszkaj ze mną w pętli czasu  
Ósemka jest dobra  
(Właśnie zacząłem ósmy krzyżyk)  
i odeszła 10 kwietnia 2010  
spod Smoleńska  
Zabijam ból pracą  
przy jej domu na wiślanej skarpie  
Do ludzi mam siedem kilometrów

*10 czerwca 2010*

## Andrzej Salnikow

### Ikos

Dwa Anioły  
w przebraniu  
tylko  
ludzkim  
dziś  
widziałem

Ich śpiew  
jak skrzydła  
wyniósł mnie  
ku Szczytom

Nie chciały  
poklasku

### Wiara

Drogą twą  
– serce wyzwolone –  
płomyczek rosnący  
w nieskończoność  
od dzieciątka Jezus  
wyniesiony

### Mario

jeszcze niedawno  
miałaś oczy  
utulone rzęsami.  
Teraz  
– z porannym ptakiem-  
w twoich oczach  
kąpie się słońce.  
Wyplata  
tęczę wygiętą  
ku niebiańskiej  
radości

### Wynurzenia

Płynę zawsze  
bezpieczną  
szalupą  
Kocham siebie  
człowieka  
naturę

Lubię płynąć  
lekko pod prąd  
Pogrywam sobą  
człowiekiem  
naturą



## Leonarda Szubzda

### Wysłuchane w sadzie...

*(opowiadanie Luby o życiu)*

Nie, nie wyszłam za mąż z miłości. Miałam innego chłopaka. Podobał mi się. Ale zaczął przychodzić do nas ten mój przyszły mąż, a nawet jego ojciec i rozmawiali z moimi rodzicami... Ja miałam 18 lat, w domu były jeszcze dwie siostry, trzeba było nas powydawać póki byłyśmy młode i byli chętni. Matka mówiła – wychodź za mąż, gospodarka dobra, będziesz miała co jeść, a ten miastowy jeszcze brzuch tobie zrobi i zostawi. A matki trzeba było słuchać, nie to co teraz.

Nie powiem, mąż ładny był, wysoki, blondyn... I dobry. To i przyzwyczałam się. Roboty zawsze było dużo – 18 hektarów ziemi, hodowaliśmy dużo świń, do tego pasieka... Różnie było, czasem ciężko, ale nigdy nie narzekałam. Z teściami przeżyłam ponad 30 lat w jednym domu, ale nikt u nas nie słyszał kłótni. Bo wie pani, żeby teściowa z synową żyły zgodnie, to jedna musi być mądra, a druga głupia. Bo jak nie daj Boże dwie głupie się zejdą, to będzie bardzo źle, a jak dwie mądre – to jeszcze gorzej.

Mąż zmarł dwa lata temu. 6 lat chorował po wypadku. Najpierw było z nim tak źle, że lekarze nie dawali żadnej nadziei. Ale ja słyszałam o takim batuszce, który pomaga i my z zięciem zawieźliśmy do niego męża. Batuszka pomodlił się i powiedział, że mąż jeszcze pożyje. I tak było. Jeszcze raz potem jeździłam do tego batuszki, już tylko z zięciem. I mąż pożył kilka lat. Ale w ostatnim czasie pogorszyło mu się, bywały takie dni, że nawet córek nie poznawał...

Mam trzy córki. Wszystkie dobre. I zięciów dobrych. Jeden katolik. Jak córka wychodziła za niego, ludzie śmieli się, że za Polaka ją wydaję... A on najlepszy z zięciów... To nic, że nie prawosławny... każda wiara dobra, a Bóg jest jeden...

17 lat przepracowałam w sklepie tu u nas we wsi. Mam za to 600 zł emerytury. Do niedawna trzymałam jeszcze świnię, ale teraz już nie. Tylko kury i pszczoły. Nasze ule są stare, nie nowoczesne, bez nadstawek, to nie mogą dokarmiać pszczół tak jak to teraz robią. Na

zimę zostawiam im trochę miodu. A miód z mojej pasieki prawdziwy, z tego co pszczoły zbiorą, nie z cukru. Nie ma u mnie osobno miodu lipowego, akacjowego czy gryczanego. Pszczoły nie znoszą oddzielnie pyłku, to i miód jeden. Po prostu miód.

I nalewki dobre robię – na wiśniach, czarnej porzeczce, kwiatach lipy i z moim miodem. Jak mąż w szpitalu leżał to doktorom woziłam. Oj, jak chwalili!

Jedna pani doktor do dzisiaj prosi, żeby jej przywieźć. Teraz to już płaci. I do Białegostoku jeden pan do swojej restauracji bierze, i do dworku w G. Po 12 i po 7 złotych za kieliszek sprzedają, to i nieźle zarobią, a i ja zarobię... Te 600 zł rozejdzie się raz dwa, a żyć trzeba. Póki mogę, nie proszę u dzieci pieniędzy. Może jak już nie będę dała rady. Ale na razie nie poddaję się. Jeszcze córkom pomagam. Tego lata zrobiłam 150 słoików ogórków, 40 słoiczków szczawiu, a ile dżemów, soków, kompotów... Ja mam czas, a one pracują, mają dzieci... Jak hodowałam świnię, to córki nie kupowały ani mięsa ani wędlin. Jak się skończyły, zabijaliśmy następnego świniaka. A jak robiłam wędliny to i w sklepie takich nie znajdziesz.

O, tam w końcu ogrodu stoi nasza wędzarnia... I chleb zimą piekę w chlebowym piecu. Przyjedzie pani zimą, to dam i pani. Tylko zięć kupi mi mąki w Siemiatyczach, bo mąka musi być dobra, taka jak kiedyś...

Mam siedmioro wnucząt, a najstarsza wnuczka dwa miesiące temu urodziła synka. To jestem już prababcia. Oj, wyglądam, wyglądam na prababcę. Jeszcze teraz w tej chustce na głowie, bo cięłam piłką paliki do pomidorów, zamiast tych co przegniły.

No i jak, smakuje moja nalewka? To dobrze, że zrobiło się trochę gorąco... Zaraz drugiej dam popróbować.

Nie. Nie chcę drugiego męża. Po co mi stary chłop w domu, jeszcze koło niego chodzić trzeba i dogadzać. Czasem smutno samej, to prawda. Ja lubię ludzi. Ale dzieci często przyjeżdżają i dzwonią. Całe wakacje są wnuki, to czasem jest aż za wesoło.

Teraz ludzie na wsi inni niż dawniej, mało do siebie chodzą i mało rozmawiają, nikt nikogo nie potrzebuje. Kiedyś spotykali się na ławeczkach przed domami, posiedzieli, porozmawiali, a teraz tylko telewizor i seriale...

Przeleciało życie nie wiadomo kiedy... Więcej w nim dobrego było, bo złego lepiej nie pamiętać.

Czy ja wiem, jak byłoby gdybym wyszła za tamtego? Może lepiej, a może gorzej... Bóg jeden wie.

A on nie ożenił się. Może przeze mnie?... Nie wszystko układa się po naszej myśli. Ale co by było, gdyby ludzie mieli w życiu to, co chcą... Ja myślę, że byłoby jeszcze gorzej niż tak jak jest...

## Zofia Wróblewska

### Z Vivaldim

Ausi

Barokowa trąbka rozpruwa ciszę  
i zima zmienia się we wczesne lato.

Zamiast ulic kanały ujarzmionej wody,  
a nad głową bezkresny, błękitny namiot nieba.

Ciepło słońca roztopia wszelki ból –  
ostre kostki lodu  
i powoli uwalnia czarne baloniki  
z kanciastych zakamarków mojej duszy.

Nagle wszystko znika.  
Skończyła się płyta.  
Powrót do rzeczywistości.

### Piąty Beatles

Hamburg jak Liverpool  
Liverpool jak Hamburg

Miłość jak malarstwo  
przyjaźń jak rockowy utwór

I tylko życie tak krótkie  
jak trzask migawki aparatu

## Zbigniew Patryk

### praca

choć tyle lat wkuwała na magisterkę  
dopiero teraz  
dostała pracę w bibliotece

długo na ten awans czekała  
już prawie zwątpiła  
że kiedykolwiek coś osiągnie  
oprócz harówki po chałupkach

bardzo się cieszy mama  
że ma nocną zmianę  
bo wtedy może lepiej niż braciszka  
mnie dopilnuje  
żebym wyrosła na człowieka  
a nie na manowce

a w dzień  
będzie miała więcej czasu  
żeby tak jak z rana  
w bibliotece  
i w mieszkaniu  
było czysto

### przed śmiercią

często  
opowiadała mama  
że zawsze klękałeś  
przed mogiłami tych  
którzy przegrali  
w powstaniach  
na placach defilad  
w świątyniach  
za kratami  
na dywanach  
w trumnach  
i tak jak ty  
który gasłeś  
jako jeden z tych  
przebranych  
nie szukam  
już odpowiedzi  
dlaczego tak być musi  
szukam ojciec  
tych samych mogił  
żeby uklęknąć  
przed tobą  
mamy nie musimy szukać  
mam w swoim pokoju  
ale wujek  
po większym kieliszku  
często chce ją wyrzucić  
bo szkoda mu  
że taka ładna karafka  
na prochy się marnuje

## Józefa Drozdowska

### Cień Przyjaciela

*Pamięci suczki Żamyczki*

Cień Przyjaciela  
od lipy do grabu do klonu  
Ni dotknąć go ni dokładnie zauważyć  
szczek zagłusza parkowy paw czy perliczka  
Koję ranę odległości  
myślami Edyty Stein  
A ból się wzmacnia -  
nie uleczy go  
choćby i największy dar  
Daleko od miejsc naszych  
wspólnych spacerów i zabaw  
siedzę jak wysłana na sąd  
bez jakiegokolwiek obrońcy

*Częstochowa, 22.08.2005 r.,  
po śmierci Żamyczki*

Do ks. Jerzego Popiełuszki

*Wandzi Łomnickiej-Dulak na pamiątkę  
pielgrzymki do Okopów i Suchowoli*

Wyrosłeś na ziemi, którą porastają  
krzyże na równi ze zbożem  
– stąd w Tobie tyle dobroci

Nie mogłeś nie błogosławić  
– już sam krajobraz  
sycił Cię miłością Ojca  
ramiona krzyża w Twą drogę  
od dzieciństwa wpisywał

A Ty jedynie posłuszny Bogu  
szedłeś nią do ludzi

Byłeś dla nich jak chleb  
z suchowolskich zbóż  
i byłeś jak miłość  
z tamtejszych krzyży

Dlatego zabito Cię  
i dlatego żyjesz nadal  
będąc widzialnym znakiem  
przymierza nieba z tutejszą ziemią

1997 r.



## Kontemplując winorośl z Krzyża św. Brunona

*Stasi Aleksandrowicz*

Nie będziesz miał innej rozkoszy  
niż niebieska. Pędami winorośli piąć się  
będziesz ku błękitnemu niebu. Życie  
zachowasz, tracąc je, i z bieli niewinnej  
i z krwi męczeńskiej narodzisz się  
ponownie dla nich. A wzgórze to zapamięta  
i drzewa drzewom opowiadać będą.  
Pędami winorośli piąć się będziesz  
wraz ze mną, gdzie ja będę, tam i pamięć  
o tobie będzie. I wzgórze to ocali każdego,  
kto pielgrzymować tu będzie, chociażby i tysiąc lat potem...

*Augustów, 8 maja 2009 r.*

### Madonna znaleziona na strychu

*Wiesławowi Szymbalskiemu Autorowi „Icones Barbarae”*

W objęciach pajęczyn  
sieci stęchłych  
piór przez mole zgryzionych  
czuwa wciąż ofiarna twarz  
Matki na wygnaniu  
w obłazłej ze złota ramie

Ufa, że ją zniesiemy  
po schodach naszego sumienia  
i przypadniemy do rąk  
dziurawionych od lat przez kornik  
Ona, Madonna, zagraconych strychów

*Augustów, 13.04.1997 r.*

### Miłość

Owiała mnie wilgotnym wiatrem  
I zapachem wrzосу  
Trzymałeś mnie czule pod rękę  
Patrzyłeś mi wprost do oczu

A teraz zaprzeczasz temu  
Odwracasz twarz ode mnie uciekasz  
Mówisz że ze mną nie oglądałeś wrzосу  
I mówisz że mnie wcale nie kochasz

*Łomża, 3.10.72 r.*

## Impresja

W oddali co chwilę słychać było cichy gwizd parowozu i turkot kół pociągu o szyny. Nade mną płożyło się jasnoszare niebo, z boku dojrzywało słońce. Pośród gałęzi drzew wyglądało jak rozwieszona złota koronka.

Z jednej strony czuwał zdawać by się było rozpadający w oczach pałac. Z drugiej, tuż przede mną, przypominający poszarpany półokrąg park. Dopiero co rozwijające się listki, nie zdążyły jeszcze okryć otaczającego go muru. Zrywający się od czasu do czasu wiatr rozdmuchiwał wokoło płatki kwitnących czereśni. Duże drzewa: lipy, klony i całkiem mi nieznane z nazwy dookolnie otaczały bryłę pałacu. Biała brzoza, onieśmielona mną, szybko przywdziewała sukienkę, a tuż pałacowych murów wiatr splatał gałązki jaworom. Wprost z łąki wcinającej się trójkątnie w parkowe pierzeje po truchlejących schodkach można było wejść na pałacowy taras i zatrzymać się na pozostawionych tu nie wiadomo komu ławkach. Nie zrobiłam jednak tego. Nie chciałam naruszyć jego prywatności. Z boku słuchałam jedynie śpiewu ptaków i przyglądałam się ich zabiegom przy budowaniu gniazd. Najwięcej było tam szpaków. Schyliłam się i zerwałam kilka pokrywających trawę bieluchnych stokrotek

W końcu odeszłam. Gwizd parowozu i turkot kół pociągu stawał się coraz bardziej wyraźny.

## Narodziny wiersza

Siedziała na zwalonej wierzbie, a raczej okraczała ją, zapatrzona przed siebie tak, jakby nic poza nią i punktem, w który się wpatrywała, nie istniało. Przykusa z kaszmiru sukienka odsłaniała zgrabne kolana i była chyba jedyną materialną rzeczą, którą czuła w tej chwili. Poza tym nawet mrówki łączące po przedramieniu nie odbierała.

Coraz częściej zdarzały się jej takie zamyślenia. Wyrwała myśli znad książki, którą brała pod pretekstem czytania. Analizowała jej w ten sposób, że wydawały się jej istnieć poza nią, a raczej obok niej. Nie, nie traciła chyba jeszcze zmysłów. Świadoma była wychodzenia części siebie z siebie. Patrzyła na tę siebie, jakby był to ktoś inny i zarazem bardzo ją zajmujący. Jej własna myśl. Myśl, którą można było na upartego dotknąć, jak własną rękę czy nogę. Teraz pozostało jedynie to wszystko zebrać i przemienić w tekst. Tak to rodziły się w niej wiersze.

Pisanie to skrzętnie ukrywała przed wszystkimi. W środowisku, w którym każdy, kto pisze coś więcej poza okolicznościowymi listami i podaniami o obniżkę należności podatkowych po gradobiciu, mógł być posądzony o nienormalność. A ona chciała być normalna. Normalna, jak wszyscy oni, ale równocześnie nie chciała odrzucać tego, co nawiedzało ją tak znikąd i nie wiadomo do końca po co.

Wymyślając pierwszy wiersz czerwieniła się aż po czubek nosa i miała wrażenie, że czerwień ta oblewała całe jej ciało. Krępowiała się tego innego ciała, a zarazem nie umiała odrzucić od siebie sprawy tej zmiany. Myśli nagle z niej wyszły. Przy następnym było już nieco jej mniej wstydliwie. Zmieszanie powoli przechodziło w coraz głębsze zamyślenie.

I w tej chwili, gdyby nie jej kusa i nieco przyciasna sukienka z kaszmiru, mogłaby wypłynąć, wyciec z siebie i może więcej już nie powrócić w swoją skórę. Sukienka zatrzymywała ją w sobie. Musiała co chwilę poprawiać się, podciągać ją do góry, przesunąć po sobie. Patrzyła równocześnie na wiersz, który stał na wygryzionej przez krowę sąsiadów polnej drodze, na linii między zasłanianym tatarakiem stawem a nią, siedzącą na ściętym pnieniu wierzb. Stał, a raczej słaniał

się w sobie. Był jeszcze niedorośli w słowach, jeszcze zbyt delikatny, by go napisać.

Z zamyślenia ocknął ją kogut. O tej porze piał na zmianę pogody. Pewnie zacznie od jutra padać – pomyślała wracając do siebie. Co zrobi z wierszem, jeżeli nagle przyjdzie do niej w domu, przy stole? W chwili, kiedy wszyscy będą zajadać z apetytem kapustę na baraninie, której zresztą nie znosiła. Albo w chwili, gdy przyjdzie jej prac nad balią obok studni na podwórzu. Co wtedy zrobi wiersz? Jak znów wejdzie niezauważona w swoje ciało i zmoczony mydlinami fartuch?

## Anna Gniewkowska

Jeszcze w uszach mam brzęk filiżanek i tubalny głos Franca Fiszera, a tu trzeba wsiadać do pociągu i jechać na wschód, w „kierunku płowych równin pod zimnym niebem”. – „Nie musimy Państwa przekonywać, jak urokliwe i osobliwe jest nasze miasto” – piszą autorzy znakomitej książki „Białystok, lata 20-te, lata 30-te”. Ależ ja to wiem, mnie o tym nikt nie musi przekonywać. Zatem, korzystając z powyższej publikacji, (ale też z pewną niechęcią) przytoczę opis, który na temat Białegostoku i jego okolic poczyniła znana pisarka Maria Dąbrowska. Otóż pisze ona, co następuje: *„Pociąg osobowy do Białegostoku chodzi już wcale dobrze, ale jest ciągle brudny i bez światła. Szarpiemy się przez szare płaszczyzny – istna symfonia popielata. Niedaleko Warszawy widziało się jeszcze zacieki nieśmiałej zieleni w rdzawych łąkach, ale tam, dalej, na Podlasiu, pod płowym niebem, jest płowo i na ziemi. Czarne gałęzi bujają się jak niezliczone smyczki na olbrzymiej wiolonczeli chmur, a gdy pociąg staje, słysząc, jak wiatr gra nimi swe miniaturowe gamy”*. Opis sam w sobie piękny i poetycki – tyle, że potem jest coraz gorzej... Zrobię tu małą dygresję – ja również dość często podróżowałam tą trasą, ale mój zachwyt ową „płowością równin” popchnął mnie do napisania młodzieńczego wiersza, który ostatnio wypadł z dawno przeczytanej książki...

*Wiatr dyrygent dał znak orkiestrze  
zaczęły topole  
klon zaszumił biorąc pierwszy akord  
rozćwierkały się wróble srebrzyście  
rozszalały wiatr giął się w ukłonach  
posypały się oklaski, posypały liście...*

Tyle ja. Podążajmy jednak za Marią Dąbrowską: *„Już po ciemku, dojeżdżamy do Białegostoku, do tego odrażającego mieściska (!), do tej brudnej dziury do śmietnika o nieokreślonym, kameleonowym obliczu”* (doprawdy trudno o gorsze recenzje). Dalej, Pani Maria pisze już nieco łaskawiej, że owszem wnętrza dworca odnowione, ale zaraz

niecio jadownicie dodaje, że kiedy sala się zniszczy, doskonale dopasuje się do frontonu.

Czytamy jeszcze „...i jeśli nie staje się u kogoś, to pozostaje Ritz... na szczęście tu komfort i czysto, których to cech nie ma hotel w żadnym mieście prowincjonalnym, byłego zaboru rosyjskiego. Co prawda jest to komfort bardzo wybitnie przystosowany do gustu poprzednich gości ze wschodu, ale mówi się – to zawsze coś”.

Skromnie nader pochwalone, a przecież trzeba pamiętać, że nasz Ritz to była wtedy absolutna klasa – nie dość, że posiadał windę i marmurowe schody – to na parterze mieścił się bank, zakład fryzjerski i kawiarnia. Pokoje dla gości urządzone wręcz luksusowo, nastrój dodatkowo podkreślały aksamitne zasłony w oknach i ciężkie mosiężne lampy. Ponadto panował tu nieskazitelny porządek i czystość. Doprawdy Pani Maria nie miałyby się na co uskarżać. Zresztą bywali tu przecież znakomici goście – księżę Jusupow (późniejszy zabójca Rasputina), Aleksander Wertyński, Wiktor Kawecka, Pola Negri, a także „Smutny Szatan” czyli Stanisław Przybyszewski.

Zaiste doborowe towarzystwo.

Prawdopodobnie, nazajutrz po przyjeździe Maria Dąbrowska, przyczesawszy grzywkę, udała się na rekonesans po okolicy. I tu też nie pozostawiła na nas tzw. „suchej nitki”. Czytamy: „*Oto ulice – Lipowa, Sienkiewicza i poboczne. Oto ich przeraźliwa brzydota. W burej niepogodzie zimnej wiosny chodzi się po nich niemal z myślą samobójczą. Po stokroć zapytuję siebie, w czym widzą cel ci ludzie, zajęci przecież sprawami handlowymi, tak dalece mający doczesny byt na widoku, w czym widzą cel życia, jeśli mogą żyć w takim otoczeniu?*” No nie, Pani Mario! Tutaj już Pani grubo przesadziła! Przecież wtedy wystarczyło w Warszawie przejść kilka ulic dalej do centrum, żeby natychmiast znaleźć się w otoczeniu ohydnych kamienic z odpadającymi tynkami, z rozdziawionymi paszczami śmierdzących sieni.

W takiej właśnie kamienicy wynajmował mieszkanie kolejarz Pietruszyński, ojciec Marysi, późniejszej Ordonki. Tam przeżyła swoje dzieciństwo, na Żelaznej 68, zanim, już jako tancerka (trzecia z lewej) przeprowadziła się do lepszej dzielnicy – na Koszykową 50.

Ale podążajmy dalej, za nieubłaganą w swojej niechęci do naszego miasta Marią Dąbrowską: „*Domy budowane z czerwonych i kre-*

*mowych cegieł układanych wzorzyście, najeżone są, naozdobione, nabrzydzone. Niezliczone sklepy, których brudne okna zda się, trzaskaną natychmiast od pstrokatych, napchanych wystaw, raczej odpychających od kupna... Nigdzie indziej, tak jak tutaj, nie ma się wrażenia, że tłum brudny i lepki mrowi się, a uczucie to wynika ze straszliwego brudu, który przenika wszystko, nie można się oprzeć wrażeniu, że nawet gogusie i wykwintnisie – wszyscy lepią się troszeczkę”.*

Dla zaczerpnięcia oddechu zrobię małą dygresję – tłum lepił się wszędzie, a niedomytych osobników o gogusiowatym wyglądem nie brakowało również w stolicy. Zależy gdzie się zajrzało...

Nie można również stwierdzić, że na m<sup>2</sup> przypadało ich u nas więcej niż gdzie indziej. Ale czytamy dalej: „naprawdę, patrząc na to wszystko, trzeba w końcu przemyśleć, że gdyby zwierzęta urzędowały sobie legowisko, bardziej by dbały o piękno, o wygodę, o czystość”. Ciśnięcie się na usta pytanie – kto tę kobietę tu zaprosił?

Do licha, Białystok nie Paryż, ale przecież nie było tu, wbrew biadoleniom pisarki, ani nadzwyczaj brudno, ani nadzwyczaj lepko. Niedawno zbudowany Ritz święcił triumfy, uśmiechając się do miasta twarzą w stylu secesji, mamił marmurowymi schodami... nie było najgorzej... A tam, w Warszawie Marysia Pietruszyńska, wracając po próbie do domu, omijała nie lepsze od naszych ścieki, zatrzymując oddech w sieni kamienicy, gdzie mieszkała, a gdzie podobnie jak u nas, cuchnęło mydlinami i kapustą. Ale dajmy spokój słownym potyczkom i porównaniom. Droga Pani Mario – na tych brzydkich ulicach kłębiło się życie – miasto było pełne rosyjskich emigrantów, szpiegów, szulerów, „dam frywolnych cudnej urody” i aż kipiało od skandali i romansów. Tutaj też, droga Pani Mario, elegantki nosiły kostiumy od Chanel i fryzury od mistrza Cierplikowskiego. Tutaj działał Józef Topiło, którego peruka została nagrodzona medalem na wystawie rzemiosła w Paryżu!

Ten „lepki i mrowiący się tłum” chciał i umiał się bawić. Ot, chociażby w takim przybytku, jak uroczym położonym w Zwierzyńcu, Letnim Teatrze Rozkosz. To była cała ceremonia – najpierw przejazd do rozłką przez pięknie zalesiony teren, żeby następnie ujrzeć rustykalny w stylu budynki, z licznymi pawilonami, rozmieszczonymi w brzozywym zagajniku – miejscem wprost wymarzone do miłosnych unie-



sień i innych przyjemności. Wszystko to przyciągało w letnie wieczory liczne rzesze mieszczuchów – powietrze płynące od lasu było czyste i świeże, ale nie tylko ono przyprawiało o zawrót głowy. Pomijając alkohol, przyczyną była Katia Masłowa – mistrzyni rosyjskiego roman-su. Kiedy zjawiała się na scenie, milkły wszystkie rozmowy. Zresztą, któż by ośmielił się wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, kiedy na sali siedział on – zakochany nieprzytomnie w Katii – policmajster Fiłonow. Kiedy kończył się występ, pił szampana z jej pantofelka, po czym oboje znikali. Zresztą nie tylko oni... zapętniały się natomiast pawilony w brzozowym lasku, strzelały korki butelek, a rozmarzeni oficerowie wrzucali dziesięciorubłówki za dekolt Cygankom i przedstawicielom podkasanej muzy.

Zastanawiam się, jakiego szampana pito wtedy, czy był to jakiś drogi francuski trunek, czy też rosyjski, zwany różnie – najpierw Paradyz, potem szampańskie wino Koronacyjne, aż wreszcie ruskoje „igristoje”. Obecnie trunek niemodny, a mało kto wie, że – „odrobinę polski...” – pisze w swoim artykule Sławomir Gowin. Z przyjemnością, przez chwilę podejmę ten temat... Osobiście nie przepadam za szampanem, ale uwielbiam pasjonatów; takim był niewątpliwie Książę Golicyn urodzony w Starej Wsi na Lubelszczyźnie (!) z matki hrabianki Jezierskiej i ojca rosyjskiego arystokraty, sztabskapitana Sergiusza Golicyna. Lew Golicyn – dziecko rezolutne i utalentowane, przeznaczono do kariery wojskowej i ojciec, trzeba przyznać, nie żałował na to pieniędzy. Młody Glicyn studiował na Sorbonie, w Moskwie, Lipsku i Getyndze. Miał być prawnikiem, ale od lat pasjonował się winem. Zarzucił więc karierę prawniczą i całkowicie poświęcił się swojej pasji. Wbrew pozorom tą decyzję ułatwiła mu wielka miłość, co się rzadko zdarza, bowiem to uczucie potrafi raczej wiele rzeczy utrudnić. Otóż zakochał się Lew w Nadii, córce kerczeńskiego dygnitarza i to dla niej przyjechał na Krym, gdzie nabył dużo ziemi. Trudno było znaleźć lepsze miejsce na uprawę wina. Dziwnym było dla innych, że Golicyn traktował wino jako „efekt twórczości, której największe osiągnięcia godne są porównań do wybitnych dzieł innych sztuk”. Tworzył zatem dzieło sztuki... Był tak konsekwentny w działaniu i charyzmatyczny, że wkrótce zaczęto mówić o nim w całej Europie, a zakątek Nowy Świat wymieniano jednym tchem z nazwą Ermitaż czy Kreml. Książ-

żę tworzył swoiste happeningi – zabiegał o właściwą atmosferę wokół procesu produkcji i degustacji, a jego kolekcja win z całego świata liczyła 80 tys. butelek i była jedną z największych w Europie. Sam jeździł dużo po świecie skupując różne sadzonki i przywożąc nowinki techniczne, ale też nie wahał się stosować najstarszych metod produkcji win, jakie znała ludzkość. Z czasem stał się najwybitniejszym winiarzem w Europie. Podbijał międzynarodowe wystawy. Nad winem szampańskim zaczął pracować w 1882 r., a już 10 lat później w piwnicach Nowego Świata złożono sześćdziesiąt tysięcy butelek rosyjskiego szampana. Bez wątplenia było to jedno z najdroższych win na świecie, głównie ze względu na gigantyczne koszty, jakie pochłonęło wytworzenie pierwszej partii. Ogromnych nakładów wymagały eksperymenty nad uprawą szczepów, ale też równocześnie trwały prace budowlane – piwnice, a właściwie tunel pod skałami budowali Grecy sprowadzeni z Anatolii. Golicyn chciał uzyskać pomieszczenia, w których temperatura utrzymywana byłaby na stałym poziomie pomiędzy 8 a 12,5 stopnia. Zbudował ich około trzech kilometrów. Ale i tego było mu mało! Oprócz przedsięwzięć potrzebnych do prowadzenia procesu technologicznego, polecił wykuć w skałach ścieżki i grotty, w których prowadził degustację i wykłady, ciągnące się nieraz kilka dni i nocy! Wreszcie nastąpił przełomowy moment i w 1889 roku rozlane zostało pierwsze eksperymentalne igristoje wino o nazwie Paradiz... trzeba tu koniecznie napomknąć, że zgodnie z międzynarodowymi ustaleniami „tylko wino wyprodukowane we francuskiej Szampanii można było nazwać szampanem, ale przed laty Borys Jelcyn podpisał z Francuzami umowę, wedle której produkt rosyjski na terenie Rosji może występować pod nazwą szampana, ale produkcję eksportową należy określać igristoje wino. U podstaw tego kompromisu nie leżały bynajmniej biesiadne osiągnięcia rosyjskiego prezydenta, ale z całą pewnością sława i uznanie przez Francuzów zasługi wielkiego oryginała epoki przedrewolucyjnej – pół Rosjanina, pół Polaka – księcia Lwa Golicyna” – pisze Gowin.

Wracając do księcia – trzeba wiedzieć, że świadomy rozgłos uczynił zeń wpływową osobistość – zarządzał od 1890 roku cesarskimi posiadłościami winnymi na Krymie i Kaukazie, car powierzył mu również stworzenie słynnych później piwnic w Massandrze i tam

właśnie powstał jeden z najnowocześniejszych wówczas zakładów w Europie. Sam Golicyn był zawziętym wrogiem wódki (!). Wierzył, że Rosja stanie się najpotężniejszym producentem i eksporterem wina, a Rosjanie zaczną je pić zamiast gorzałki. Swoją naiwną w tej kwestii wiarę posunął do tego, iż otworzył sklep w centrum Moskwy i dostarczane z Krymu wino, kazał sprzedawać nie drożej niż 25 kopiejek za butelkę! Mitygowany przez swoich doradców twierdził, że jego największym pragnieniem jest, aby „robotnik, rzemieślnik i prosty służący pili wyśmienite wino”. Mój Boże, drogi księżę, nawet przy bardzo wybujałej wyobraźni, trudno jest sobie wyobrazić prostego rosyjskiego chłopca w rubaszce i prostego rzemieślnika, jak po dniu znożnej pracy, zasiadają w okopconej izbie i przy wszechobecnym zapachu (czy fetorze) gotowanej kapusty i starego smalcu, strzelają korkiem butelki z zawartością ruskim igristoje! No, ale cóż – księżę był artystą i arystokratą, miał poczucie misji, a jego wyobraźnia skierowana była na zupełnie inne tory..

Jak to z artystami bywa, nie miał Lew Golicyn głowy do interesu. Całkowicie był pozbawiony zdolności handlowych, a jego inwestycje, dyktowane przeważnie ekscentrycznością, nie miały przeważnie sensu ekonomicznego. Prawdę mówiąc więcej owoców swojej pracy rozdawał niż sprzedawał. Całe życie gościnny, hojny, skłonny do kosztownych ekstrawagancji i nieracjonalnej filantropii, ściągał sobie na głowę coraz więcej kłopotów finansowych. Chociaż trzeba wiedzieć, że w Rosji niesforny materialnie arystokrata nie był czymś wyjątkowym, ale jednak coś należało zrobić. Ustalono zatem, że skarbiec państwowy przejmie majątek księcia wraz z instytutem badawczym jako dobro narodowe, spłaci ciążące na nim długi, a Golicyn zostanie dożywotnim rezydentem.

Mikołaj II oświadczył, że uważa to za swój obowiązek, bo jednak wśród całej rzeszy utracjuszy, księżę wyróżniał się sławą i dorobkiem naukowym, a z jego „karkołomnych finansowo badań korzystały całe pokolenia winiarzy z krajów, w których nigdy nie zdobyłoby się na takie ryzyko”.

Tak więc „Księżę wina” dożywał w swoich dobrach. Szczęśliwie dla siebie nie doczekał rewolucji i zmarł w październiku 1915 roku, nie widział już jak jego majątek został znacjonalizowany, czyli

doszczętnie złupiony, dopiero w latach 30-tych wznowiono tam produkcję szampana, który przez następne pół wieku nazywał się będzie sowieckiego igristoje.

Ale to już inne czasy, inna historia...

Powróćmy do Zwierzyńca, powróćmy do teatru Rozkosz, który przeżywał dni swojej świetności. Jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – miał swoje pięć minut. Przejdźmy się wyźwirowanymi alejkami brzozowego zagajnika. Zaraz zacznie się występ, zapada ciepły letni wieczór, latarnie na słupach syczą w zamyśleniu. Goście siedzą przy biało nakrytych stolikach. Muzykanci maczają wąsy w kufiach piwa, milczą, tępo zapatrzeni w głąb siebie... Instrumenty – wiolonczele i skrzypce – o szlachetnych konturach leżą obok, czekając na wyjście. Pobrząkują noże i widelce. Wszystko trwa w oczekiwaniu.

Dwóch oficerów przy bufecie popija wódeczkę – Pyszna ta Katia – mówi jeden, a drugi kiwa głową cmokając z uznaniem. Fotograf ustawia swój trójnóg, rozsuwa miech aparatu jak harmonię i pogrąża się cały w fałdach sukna, nawet liście na krzakach bzów drżą z niecierpliwości, czas zacząć...

Sama mam już gęsią skórkę i przechodzą mnie jakieś dreszcze. No gdzie ta Katia? Fiłonow (co za okropny typ) siedzi blisko estrady zastygły w bezruchu, lekko czerwony na twarzy. Od czasu do czasu tylko rzuca nieprzychylnie spojrzenie w kierunku grupki oficerów, którzy głośno się z czegoś śmieją, ale zaraz też milkną. Zresztą nie tylko oni – nawet szamoczący się w zaroślach ptak zastyga... A Katia śpiewa, obejmując w posiadanie całe niebo, posyłając do publiczności jeden i ten sam uśmiech w tysięcznych powtórzeniach, który goszcząc chwilę przechodzi – już wieczny – do gwiazd, rozsypując się w gwieźdzną obojętność, gdzieś wysoko, ponad teatrem Rozkosz. Jeszcze długo w nocy śni mi się jej chrypliwy, nadpęknięty głos i ciemne oczy w głębokim cieniu kapelusza. Tylko ten policmajster Fiłonow nijak nie przystaje mi do tego obrazu...

Niedzielny obiad u babki Józefiny budził we mnie sprzeciw całego organizmu. Manifestował się zwykle bólami brzucha. Matka prędko odkryła przyczynę owych napadowych dolegliwości i po wstępnej fazie współczucia, okazywała graniczącą z okrucieństwem bezwzględność: na sofie leżała, już uprasowana, znienawidzona, granatowa sukien-

ka z białym kołnierzykiem – gotowa do włożenia. To nie był koniec przykrości – histerycznie wprost bałam się rosółu z długimi nitkami makaronu, podawanego na ten niedzielny obiad, w odświętnej wazie w niebieski rzucik. Nitki miały wredny zwyczaj wyszlizgiwania się na sukienkę, a potem leżały na niej wijąc się jak robaki. I te twarde kawałki mięsa... nie poddawały się żadnym zabiegom w moich ustach, połykam je więc w całości. Potem znowu bolał mnie brzuch...

Lęk budzili we mnie goście babki – wielkie piersiaste kobiety, które spoglądając na mnie z wyżyn swojego wzrostu, rzucały kilka przesłodzonych uwag albo jakieś kłopotliwe pytania, ale na szczęście, zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, zajmowały się swoimi sprawami, przekonane o własnej doniosłości. Dużo, dużo później mogłam, z wyżyn własnej dorosłości, obserwować lichotę tej zubożałej generacji, całą śmieszność tandetnej anatomii, która kiedyś tak mnie przerażała: stare kobiety posypane pudrem jak przestarzałe, przesłodzone ciasteczka... twarze miały wyjedzone przez życie, jakby zasnuwane pajęczyną i niewyraźne. Nieruchome, łzawiące oczy, wyjąłowane ze wszystkich pragnień. Roztaczały wokół natrętną woń naftaliny, którą wydzielają ich kolorowe suknie – przypominały stare, wyliniące ptaszyska, w których niepojętym sposobem kołatało się życie. Jedynie babka Józefina – jak zwykle pełna werwy, wydawała się być nietknięta przez Czas...

Pomagałam jej czasem w kąpieli, nie posiadając się za każdym razem ze zdumienia, że kobieta w jej wieku może mieć takie młode i gładkie ciało.

Ale to nie wszystko, co wzbudzało we mnie powyższe uczucie – babka potrafiła żyć w zupełnym oderwaniu od wszechobecnej zasady jednostronnego upływu Czasu. Wydarzenia, również minione, trwały w niej „tu i teraz”. Nie miało znaczenia, że przecież były jednak usytuowane w owym Czasie, nanizane na nitkę Przeznaczenia, zmieniały swój wymiar i znaczenie.

– Pamiętasz Katię? – zapytała mnie kiedyś zniecka Józefina siedząc już po kąpieli w łóżku (te chwile lubiła najbardziej na świecie). Otulona w fioletowy, mechaty, przetarty miejscami szlafrok, szykowała się do układania włosów. – Katię – zastanawiałam się przez chwilę. – No, oczywiście, nie możesz pamiętać, to zdarzyło się przecież jakiś czas przed twoim urodzeniem. – Dobrze sobie – pomyślałam, babka

opuściła jedno pokolenie..., ale mniejsza o takie szczegóły, jeśli o Józefinę chodzi. Babcia beztrudno ciągnęła dalej, widocznie myśląc mnie z matką. – Ta to dopiero miała ciało! Podglądałam ją u krawcowej, tej Sary od Blumsztajnow, no wiesz, mówili na nią „sucha rączka”, bo coś tam miała z jedną ręką nie tak jak potrzeba, ale do szycia to ona dryg miała i brała niedrogo. Wszystkie się u niej szyły i te damulki, żony oficerów i połowa miasta (Katia też), mówili o niej, że pochodzi z biednej rodziny – córka stróża i praczki. Od małego mówili, że nic z niej nie będzie – zadawała się z typami spod ciemnej gwiazdy i podobno morfinizowała. Dzisiaj można powiedzieć, że była narkomanką. Dobrze mówię? Przytaknęłam. – Zakochał się w niej niejaki Fiłonow. Też nieciekawy typ. Policmajster podobno, ale niejedno miał na sumieniu. Tak mówią, ja tam nie wiem... Babcia przypaliła cygaretkę i zaciągnęła się z lubością. – Może to nawet on załatwił jej występy w Rozkoszy – ciągnęła – pewnie on. Zresztą dzięki mu za to, bo okazała się, że ta Katia ma niesamowity głos, coś w sobie jeszcze takiego miała, nie potrafię określić. Namówiłam kiedyś twego dziadka, żeby zabrał mnie na jej występ... Odmówił. – Kobietom nie wypadało tam bywać. Wolał sam chodzić na jej występy, jak większość mężczyzn, przypuszczam. Katia miała w sobie coś takiego, że obecność żony przy tym wszystkim, nie była pożądana. Ja to rozumiem – dodała w zamysleniu... Długi czas babka rozplątywała warkocz wilgotnych włosów. – I co z Katią – nie mogłam się doczekać dalszej wersji. – Cóż, wszystko jak w życiu. Zawierucha, zamieszanie, mieli wejść Niemcy, Rosjanie uciekali, policmajster też, a z nim ta nieszczęsna Katia. Miłość czy głupota, trudno powiedzieć. Kiedy wylądowali w Odessie, oboje byli bez grosza, miłość rozwiała się jak dym, on wracał po kilku dniach brudny, zarośnięty i cuchnący alkoholem, aż któregoś dnia przepadł bez wieści. Krążyły plotki, że zaciągnął się do Denikina. Ona została sama, bez środków do życia, bez znajomych i przyjaciół. Postanowiła wrócić do domu. Do Białegostoku. Długo to trwało, ale w końcu wróciła. Trudno jest jednak wrócić, kiedy „wszystkie role zostały rozdane”, a „wszystkie miejsca wyprzedane”.

Warkocz babki Józefiny wysycha z wolna, wijąc się swoimi drogami. Siedzimy w pokoju, który napełnia się zmierzchem pełnym podskórnych dreszczy.

A jednak nie skończyliśmy tematu Katii tamtego wieczoru (ani kiedy indziej). Po prostu Józefina zmarła kilka dni później, we śnie. Jak to miała w zwyczaju – nigdy nie kończąc podjętego tematu.

Dużo później, grzebiąc na strychu w starych wycinkach z gazet, natrafiłam na notkę – „Zauważono młodą kobietę przechadzającą się pośród drzew, nad rzeką Białą. O zmierzchu mały chłopiec usłyszał wołanie o pomoc. Zanim zawiadomił dorosłych, zrobiło się ciemno. Kobieta znikła. Na brzegu zauważono torebkę i zakiet, bez żadnych dokumentów. W następnych dniach rzeka wyrzuciła ciało. Wokół twarzy wiły się ciasno gęste, ciemne włosy. Nikt nie upomniał się o zmarłą...”

Tak dramatycznie i sensacyjnie mogła by oczywiście skończyć się historia Katii Masłowej. Życie jest jednak bardziej prozaiczne... Katia nie umarła, przynajmniej nie tak od razu. Żyła dalej, śpiewała, chociaż z roku na rok mniej chętnie ją zapraszano do występów – przyczyną był nadmiar papierosów i alkoholu, a także innych używek. Skutkiem tego, jej głos stawał się coraz bardziej chrypliwy – aż do niesłyszanego nawet z pierwszych rzędów. Później dały znać o sobie choroby... bywały i takie dni, że po występie trzeba ją było prawie znosić z estrady.

Zresztą i Rozkosz powoli umierała... Po wyzwoleniu prawie o niej zapomniano. Przyjeżdżające kabarety grywały głównie w centrum miasta, z reguły na scenach białostockich kin. Czasem przypomniano sobie o tym tak pięknie i malowniczo położonym obiekcie, ale ze względu na odległe położenie, każdy pomysł upadł. Kolejni najemcy otwierali tam sezonowe restauracje, kusili – a to doskonałą kuchnią, a to występami kabaretów z udziałem scen warszawskich, ale prawda była taka, że pomijając tą faktycznie dobrą kuchnię, występowali tam tylko podrzędni „królowie humoru”, tańczyły baleriny z fałszywym nazwiskiem, a Katia słabła w ostatnim śpiewanym romansie...

W 1928 r. miała Rozkosz swoje ostatnie pięć minut, kiedy na tym terenie odbyły się Targi Przemysłowo-Rolne. Znów zabłyśły światła, a wojewoda, prezydent i inni oficjele spacerowali i podziwiali zgromadzone wyroby przemysłu i okazy hodowlane. Potem nastąpił definitywny koniec. Gmach teatru zabito deskami, a okolicę zajęła 13 Szkoła Powszechna, przeznaczona dla dzieci zagrożonych gruźlicą. Historycy piszą: „tam gdzie ongiś rozbrzmiewała piosenka kabareto-

wa, a w altankach i pawilonach lał się strumieniami szampan w hulaszcej atmosferze rozbawionych oficerów rosyjskich i bogatych kupców, zjeżdżających się kilka razy do roku po tanie, popularne wyroby białostockie, gdzie dawniej panowała ‘płocha Wenus’ z ‘rozpasanym Bakchusem’, tam pozostała tylko nazwa i pudło letniego teatru zabite deskami na głucho”.

A jeszcze później powstał tam dom dla „podrzutków”, które co jakiś czas z krzykiem pojawiały się na białostockich podwórkach i dworcowych poczekalniach.

W 1937 r. Ks. Ołdziejewski, nie mogąc znieść marnotrawstwa materiału rozebrał okazały budynek teatru letniego, a uzyskany materiał wykorzystał na budowę nowego kościoła w Dojlidach. – Wyobraź sobie, jak niektóre elementy przyciągały oczy stałych bywalców Rozkoszy, chociażby te połączone hafty... niejednemu panu pewnie łezka wzruszenia zakręciła się w oku. Chociaż nowe miejsce nie było do tych wspomnień stosowne...

Ale oto wybucha druga wojna. Pewnego feralnego dnia zabarwiają się krwią owe niczemu niewinne harfy. W czerwcu 1941 r. uciekają przed Niemcami wojska radzieckie, grupa wyrostków otwiera ogień do uciekinierów, a ci w odwecie podpalają kościół i żeby dopełnić szatańskiego dzieła – strzelają do ukazujących się w drzwiach Ks. Ołdziejewskiego i kościelnego...

Można powiedzieć, że dopiero wtedy naprawdę zakończyła się historia teatru Rozkosz, przez Jolę zwana Rozpaczą...



## Claudia M. Stanek

### Appendage

He chewed his thumb nail to its pith;  
the same thumb flicked away her tears  
when her two-wheeler dumped her into petals  
and thorns, the thumb that held the hot  
needle to her own to remove a rooted sliver,

the thumb that closed his grip on her hand  
as she stepped onto the fresh ivory runner  
the day he gave her to another, the thumb  
that massaged her infant daughter's gums  
until that first gleam of white bore through.

### Dodatek

Przygryzł do krwi paznokcieć kciuka;  
Ten sam kciuk strzepnął jej łzy  
Gdy w płatki i ciernie zniósł ją jednośląd,  
Kciuk, który trzymał przy jej kciuku igłę  
Rozżarzoną, usuwając zakorzenioną drzazgę.

Kciuk, który zamknął uścisk na jej dłoni  
Kiedy stanęła na ślubnym kobiercu  
W dniu, gdy przekazał ją innemu, kciuk,  
Który masował jej małej córeczce dziąsła  
Dopóki pierwszy błysk bieli nie przebił się przez nie

*Translated by Edyta Poskrobko and Paweł Poskrobko*

### Alive

I remember a summer afternoon  
from my youth, five teen girls  
swimming in a muddy pond, eating  
happenstance sandwiches in bikinis.  
As I looked at Mother's motion-  
less chest, I remembered that day,  
and driving home, our bras flapping  
like flags around the car's  
antenna, our breasts floating  
free beneath our shirts.

### Życie

Pamiętam letnie popołudnie  
mej młodości, pięć dziewcząt  
pływających w mulistym stawie, jedzących  
beztrosko kanapki w bikini  
Patrząc na matki nieruchomą pierś  
wspomniałam tamten dzień,  
I powrót do domu, staniki nasze trzepoczące  
Jak flagi wokół anteny samochodu  
Nasze piersi unoszące się  
Swobodnie pod koszulami.

*Translated by Edyta Poskrobko and Paweł Poskrobko*

## Ołena Paszuk

### Z tomu „Sedmycia” Wielki tydzień (2008)

\* \* \*

nas nic nie łączy  
nawet  
wspólnie spędzona noc  
w jednym łóżku  
twoje oczy wędrują  
po obcych firankach  
a moje -  
słone fistaszki  
między twoimi ustami  
zaprzyjaźnione jak  
wypalający się papieros

nawet koty narzekają  
że zbytńio miauczemy

## Epea 9

---

\* \* \*

przyniosłeś dla mnie  
kilka wierszy  
do degustacji  
odkorkowałam jeden  
i  
upiłam się nalewką  
twoich miłosnych  
obrazów

nie przejmuj się  
jutro pójdę do przychodni  
leczyć  
uzależnienie od twoich wierszy

\* \* \*

mam obiecane że jutro  
będą moje urodziny  
a z tortu jak zwykle  
wyrośnie siedem świeczek  
które za tyle lat  
nie spłonęły do końca  
i gdy ktoś przemówi  
tak – tak  
jaka jesteś dorosła  
będę się bała zapytać

mamo  
czemu do moich ust  
zlatują się pszczoły?

\* \* \*

kobieta co nie umiała płakać  
handlowała łzami wdów za bezcen  
przychodziła do ruczaju  
i zmywała krzyk

kobieta co nie uświadamiała  
z którego boku słońce  
nosiła czarny stanik  
zapinkami do ciała  
cnotą do ludzi

kobieta co nie bała się  
patrzeć przez okno wśród nocy  
narażała się ogromnie  
na zapomnienie  
siebie samej

więc komu potrzebny jest promyk twojej siwizny?

## Epea 9

---

\* \* \*

zapewne jeszcze kiedyś  
przycumujemy do tego brzegu  
gdzie zostawiliśmy ubrania  
gdy byliśmy młodzi

ty wojskowy mundur  
a ja sukienkę  
wtedy byłeś dla całego świata dezserterem  
a dla mnie moim jeńcem wojennym

bo właśnie zmusiłam cię  
przenocować u mnie wojnę  
i sama  
zaklinałam ścieżkę wokół domu

dlatego jestem obojętna  
że kiedyś przycumujemy  
do tego brzegu  
gdzie nas rozpozna samotne drzewo  
ale bez podania dłoni

*Tłumaczenie Tadeusz Karabowicz*

## Vincente Vaya Castillejos

### Jakże Cię Kocham, Mamo!

Wysłuchaj mnie mamo  
z twojego wnętrza chcę z tobą rozmawiać  
o moim szczęściu  
kiedy otuli mnie  
nie dalekie echo  
ale ciepło twoich słów

Tak blisko jesteś mamo  
że rytm twojego matczynego serca  
z tętnem życia  
rozsiewa nadzieję  
miłości

Przyniosę ci szczęście, mamo,  
kiedy się urodzę  
będziesz odczuwać na swojej skórze  
pieszczotę moich palców  
jak białych gołębi

Na twoich oczach przysiądzie  
jaskółka czysta mojego spojrzenia  
wtedy z moich ust krwią twoją napojonych  
usłyszysz odgłos pierwszych słów  
spragnionych aby ci podziękować

Mamo, jakże jestem szczęśliwy  
ale powiedz co ci powiedział  
w zdaniach w tajemnicy skrytych  
twój młody przyjaciel  
który rozmawiał z tobą

## Epea 9

---

Słyszałem tylko przerywane zdania  
że życie jest trudne  
że... pieniądze  
że byłbym przeszkodą  
że byłbym – nie pamiętam  
ach tak, że byłbym ciężarem

Może chce żebym się nie narodził?  
abym nie dojrzał któregoś dnia  
blasku rodzącego się światła?  
aby mojej skóry  
nie całowały twoje usta?

Abym nigdy nie usłyszał  
rozedrganych dźwięków  
twoich słów miłością wypełnionych?

Mamo, jak mi smutno!  
powiedz mi czy to prawda, żeś postanowiła  
oderwać mnie od siebie  
zabijając nadzieję?  
proszę cię mamo, nie przerywaj pępowiny  
łączącej z twoim sercem!  
Twój przyjaciel mamo  
nie jest dobrym ziarnem  
kaleczy twoje zaufanie mamo,  
oddal go od siebie

Wiosną, kiedy się urodzę, mamo  
będę ci towarzyszył  
jak wierny przyjaciel  
będę synkiem kochanym  
odbiciem twojego spojrzenia



Błagam cię mammo  
nie przerywaj mojego życia  
nie odrywaj pępowiny  
od swego serca

Mamo, będę twoją wielką miłością  
nie odrzucaj mnie  
kochana mammo!

### Bóg zawsze jest w świtanium

*Psalm 36. O przewrotności człowieka i Bożej Opatrzności*

Bóg zawsze jest w świtanium  
w nieogarniętej przestrzeni  
w kroplach deszczu  
na łące w liściach trawy  
w chlebie życia  
z bratem przyjacielem

Bóg zawsze jest w świtanium  
w promieniach słonecznych  
w jego pieszczotach wysokich gór  
i kiedy zielenieją drzewa  
w jego ciepłym świetle

Bóg zawsze jest w świtanium  
w nagim horyzoncie  
myśli chłopięcych  
w spracowanych dłoniach  
pokornego rolnika  
w utrudzeniu zbierającego ziarna na chleb

Bóg jest zawsze w świtanium  
w radości oczu  
małych dzieci  
i w pooranej twarzy starca  
który śni o wytchnieniu

Bóg jest zawsze w świtanium  
na zagubionych traktach człowieczych zmagania  
na bambusowych dachach  
starych szałasów  
wielkich miast

Bóg jest zawsze w świtanie  
na falach wiatru  
w morzy przebaczenia  
w życiu które się rodzi  
z cierpienia matki  
miłości łzach

### Modlitwa

Panie  
na Twoje ramiona włożę  
utrudzenie mojej drogi  
i proch który przyłgnał do mojej skóry

W Twoje usta  
wleję wodę mocy  
która obmyje i oczyści  
grzechy mojego ciała

Przybliżę do Twojego oblicza  
moje wyziębłe serce  
a z twoich oczu zatrzymam żar ognia

Znajdę w Twojej krwi  
tętno mojego życia  
które zaniosę moim braciom  
w drodze ku niebu

Panie  
przyjmij w Twoje ręce  
moje pragnienie apostołowania  
rozpalaj Twoim Duchem  
moje wieczne kapłaństwo

## Pozostań z nami Panie

Nie odchodź Panie, noc się wszak zbliża  
i cienie kładą się na drodze  
przysiądź tu z nami przy ognisku  
dzieląc jak dawniej chleb i wino

Słowa Twoje jak ogień rozbudzony  
słuchając Ciebie płonęły serca nasze  
przed Twoim głosem ciemność uciekała  
od cienia i pustki wyzwalając

W zwątpieniach oczy niegdyś utkwione  
odnalazły wiarę Bożego Domu  
z chlebem dzielonym Twoimi rękoma  
z nich się rodziła nadzieja nasza

Pragnieniem utulić Twoje serce  
i żywą miłość wszczepić w serca nasze  
z wzrokiem na stole z bochenkiem chleba  
odgłos Twych kroków znowu słyszeć Panie

Gorący płomień Twojej miłości  
światłem rozjaśniał nasze wędrowanie  
By się uwolnić od zwątpień codziennych  
przywróć nam radość i swe drogi Panie

*tum. z hiszpańskiego o. Bogusław M. Horodeński CRSP*

## Helena Ostaszewska

### Już tylko we mnie

Poczta – mówi sąsiad i wręcza jej kilka kart z życzeniami. Dziękując, przegląda je machinalnie. O, Krukłanki! Mazurskie uroczysko nad niewielkim jeziorem. Ożywają wspomnienia. Przypominają się sympatyczni gospodarze pięknego pensjonatu i kilka domków wczasowych zagubionych w wyciszonym ustroniu. Ośrodek wypoczynkowy. Otoczenie zadbane, widoczna troska o roślinność, ale i przemyślane wkomponowanie jej w środowisko leśne. Drzewa, krzewy oraz kępy bylin rozrzucone luźno, naturalnie wtulają się w pierwotny krajobraz. Uwagę przyciągają modrzewie. Jest ich wiele i w różnym wieku. Rozłożyste korony o nieregularnych konarach z mnóstwem drobnych, wiotkich i popłątanych gałązek okrywa ciemnozielone miękkie igliwie. Na zeszlórocznych przyrostach mnóstwo drobnych szyszek. Wyglądają jak węzłki czasu, którymi natura upamiętniła majowe ukwiecenie drzewa.

Te modrzewie ciągnęły jej oczy i myśli. Podziwiała je o różnych porach dnia. Jednak najczęściej rano, kiedy wracała z samotnej włóczęgi po uśpionych jeszcze leśnych zakątkach. Siadała wtedy na szerniałej ławie sporządzonej z płacht drewna i zatapiała myśli w zielonej plątaniu gałązek wyraziście wysuwających się w błękit porannego nieba.

Wspomnienie ostatniego lata jej gasnącej sprawności i kontaktów z ukochaną przyrodą Mazur zamknęła teraz gorzką refleksją, że to już zostało w czasie przeszłym, w oddaleniu, w przemijaniu. Refleksja wtopiła się w ciszę domu – myśli pomknęły w przeszłość.

Modrzewie, osobliwe iglaki wtulały się w jej życie od dziecięcych lat. Dzieliły je na etapy, łączyły z miejscami i porami roku. Wiosną kuśiły smolistą czerwienią młodych szyszek. Latem – aksamitną miękkością ciemnozielonych igiełek. Jesienią ocieplały październikowe smutne dni, płomiennie żółknącymi koronami. Jak ostatnie ogniska lata rozjaśniały szarość czasu. Zimą czarowały puchowym ośnieżeniem albo bajeczną okiścią wiotkich gałązek.

Modrzewie wiązały się także z sagą rodzinną. To były ukochane drzewa dziadka. Pamiątka po Modrzewiówce, dworku szlacheckim,

wielopokoleniowym siedzisku otaczanym starymi, balsamicznie pachnącymi modrzewiami. Zmiotł go popowstaniowy wiatr. Nie mieli do czego wracać sybirscy zesłańcy. Rozproszył ich czas. Ukorzenił daleko. Dziadek wrócił i opuszczoną ziemię otulił wspomnieniami. Przed nowym domem zasadził dwa modrzewie. Troszczył się o nie, pielęgnował hołubił i cieszył się, że mu tak pięknie, zdrowo, a dostojnie wyrosły. A kiedy jesienne czy zimowe wichury targały gałęzie i zaglądały nimi do izby, przywoływał w opowieściach tamten dom o ścianach z pachnących desek, muzykę świerszczy za kominem, losy rodziny i swoją młodość w gnieździe otulonym starymi modrzewiami.

Niedługo cieszył się. Znowu dopadł go zły czas. Biedą i kryzysem wypędził do miasta. Sprzedał dom i sad. Przeniósł się. Zabrał tylko wspomnienia. Jeszcze raz próbował ukorzenić życie w jałowych piaskach przedmieścia. Potem otulał tę jałowiznę wspomnieniami. Sadził wiśnie, jabłonie, brzozy, a przed oknami – dwa modrzewie.

Pamięta, jak z nią szedł po te sadzonki do leśniczówki, a potem zachęcał, żeby opiekowała się, to wyrosną tak jak tamte opuszczone. Nie doczekał wzrostu. Zmęczyło go życie, zabrała choroba. Zgasł. Drzewa zostały. Rosły zdrowo. Nawet przegoniły ją. Cieszyły oczy. Przywoływały wspomnienia. Wiązały z dziadkiem i zagubioną w złym czasie Modrzewiówką. Im wyżej rosły, tym mocniej zakorzeniały się w jej sercu. Kiedy po wyjściu za mąż opuszczała to miejsce, jak ciepłe żagwie młodości żegnały ją pożółkłymi koronami.

Po latach już ich tam nie było. Nie było też brzozek, wiśni i jabłoni. Był wielki, kamienny dom. Wznosił się wysoko, nowoczesnie, bogato. Obco tam było, zimno i smutno.

Patrzyła teraz na tę kartkę z Krukłanek. Wracąca z dalekiej wędrówki myśli. Za oknem zieleniły się lipy, a w perspektywie miejskiego podwórka, na sąsiedniej posesji chwiały się dwa mizerne modrzewie. Ktoś je tu posadził po wojnie. Z trudem zapuszczają korzenie w gruzowisko wypalonego miasta. Wolno porastają konary. Szyszki rzadko zdobią słabe gałązki. Jednak drzewa nie poddają się, walczą, rosną.

Zawiesza na nich tamte dalekie obrazy drzew i losów rodziny. Czasem nadaje myślom kształt słowny. Zostawia ślad. Nikły, a tak bardzo potrzebny tym, co po niej idą w świat komputerów i betonu.

## Epea 9

---

Ośnieżony oddaleniem  
szkic konarów,  
koraliki czasu  
na gałązkach wspomnień.

Wiosna –  
dotknięcie miękkości igieł,  
aksamitu puszystej zieleni.

Lato –  
szczebiot sikorek  
na smagłości szyszek.

Jesień –  
ostatnie pochodnie drzew  
sprzęgnięte pamięcią  
z ciepłem domu,  
którego już nie ma.

Węzłem pamięci  
zespalam stężały czas:  
dom, drzewo i ja.  
Supelkami, supelkami  
po gałązkach wiotkich  
skaczą myśli.

Tyle tam puszystych wiosen  
i tyle wichrów jesieni,  
i tyle krzyku ptaków,  
łomotów  
po oknach, po dachu,  
i tyle bają wieczornych:  
o strzygach,  
o duchach,  
o strachach.



Modrzew,  
w ognjach jesieni,  
do okna zagłąda tęsknie.  
Inny niż tamten z dzieciństwa.  
Tamten –  
już tylko we mnie.

Dobrze, że są jeszcze Kruklanki. Pozdrowię ciepłym wspomnieniem – myśli i zabiera się do pisania.

## Krystyna Gudel

### Dyptyk o babci Cyryli

#### Śliwkowa babcia

jej skromna obecność  
przeważała  
kosze wypełnione po brzegi

dorodne mirabelki rozpoczynały lato  
najwcześniej – zwłaszcza te szczepowe

szklisty sok wyciekał z przejrziałych  
jak miód z wypełnionego plastra

babcia Cyryla zapraszała przechodniów  
na ucztę w cieniu śliwy gdzie  
natrętne osy krążyły jak najęte  
stopy grzęzły w złocistym kobiercu  
a ona dawała upust swojej radości

któregoś dnia rozdała złote runo  
i najzwyczajniej odeszła

## Babcia Cyryla cieszy się i smuci

Dorodna jabłoń pochyliła się w wielobarwnym  
i smakowitym ukłonie. Babcia zapewne swoim  
zwyczajem namówiła ją na obfitość darów.  
Przekupiła modlitwą albo śpiewem.  
Była przecież wiejską chórzystką – i to jaką.

Może wstawiać się za jabłonią, jest z pewnością  
w niebie. Mirabelek już nie rozdaje. Pień po starej  
śliwie zajęły pracowite mrówki.

## Nie prowadzi dialogu

Rozmowa z własnym sumieniem  
wcale nie przychodzi łatwo.

Ociera się o ostre krawędzie codzienności.  
Pokrzepiona poranną toaletą umysłu,  
bawi się w chowanego z rozsądkiem.  
Zahacza o przenikliwość jasności  
i łaskę wszelką. Wybiórczą staje się  
w obliczu dyrektyw i wykładni.

Niechętna na kompromis –  
nie prowadzi dialogu.

## Epea 9

---

\* \* \*

zużyty dzień  
jak przewrócona  
kartka  
jutro zapiszę  
następną

da Bóg

### Zbyt wiele dioptrii

dłonie pocięte na wskroś  
na liniach życia głębokie wręgi  
żyły nabrzmiałe powykręcane  
gęsta sieć przebarwień

koczek w odcieniach srebra  
zmniejszył się w objętości

zniekształcona postura  
poskromiona witalność

spotęgowane zaskoczenie  
(może to zbyt wiele dioptrii)

milczenie

## Pod prąd

starą damkę prowadzi resztkami sił  
pod wiatr i pod prąd

sękatym kijem zostawia ślad  
wzdłuż linii jezdni

zbyt duża siła wiatru  
krucha odporność

flauszowy beret niemalże  
zakrywa widoczność

otwarte usta połykają powiewy  
płuca nie mieszczą naporu wtłoczeń

za mała objętość  
a potrzeba taka wielka

nie może się spóźnić  
jeszcze nie teraz

## Miedza jaką pamiętam

rozdziela złociste palety wielobarwną  
wstęgą gdzie maki wespół z chabrami  
przysiadły na niewielkiej kruśni

wystrojona jarzębina jak rozłożysty  
baldachim nad Hostią w Boże Ciało  
użycza chłodu spracowanym żniwiarzom  
co przysiadają na czas odpoczynku  
chroni płowe główki małych pomocników

tam paż królowej zatacza aureolę  
nad smukłą dziewanną brzuchaty pajak jak  
nocna zmora nadużywa dziecięcej zuchwałości

gwiazdzisty rozchodnik poskromiony drżącą  
ręką babuni rozjaśni czerwcowe wianuszki  
a rosochata mietlica zamieszka w kącie sieni

## W zwierciadle Białki

włosy niemłodych już wierzb  
rozczesane subtelnym powiewem  
sprawdzają swój wizerunek  
w zwierciadle Białki

rozkapryszone kaczuchy  
rozsiadły się po obu brzegach

na mostku zakochani  
ich twarze promieniają

a nad nimi duch Zamenhofa  
spotyka dostojności z rodu Branickich

na przezroczystym obliczu  
dużo dorodnych piegów

pierwszy wiosenny deszcz

## W poszukiwaniu czarnej huby

wszelkie medykamenty  
nie miały już racji bytu  
nadzieja utracona

Boluś tylko wiedział  
gdzie jej szukać

na wysokości dwunastu metrów  
omszałej brzozy na bagnach

dostać się tam podważyć  
i delikatnie wydrzeć jak kurzajkę  
ze wszystkimi mackami  
nie uszkodzić czarno– białej skóry  
nie zniweczyć szansy

Boluś wiedział jak uspokoić  
własne sumienie



\* \* \*

poranna kawa  
dosłodzona nadzieją

niech i ja  
utrudzony wędrowiec  
dotrę wreszcie do celu  
a w przedsionku skołatanego serca  
zagości otucha

niech wiatr nieskory do żartów  
ugasi pełgające cienie ciszy  
przywieje łabędzie pióro

i jeszcze jeden wers

## Joanna Dawidziuk

\* \* \*

Puszcza oddycha  
poezją wiersza

wyławiam z podmuchów  
strofy natchnione  
głębokością życia

i tylko krok  
dzieli mnie  
od wieczności  
zakłętej w liściach

codziennność  
kora istnienia

\* \* \*

to nieprawda  
że las jest niemy

nie słyszysz tylko  
jego słów

zapomniałeś  
jak rozmawia się  
z ziemią

## Grażyna Cylwik

\* \* \*

Żaluzja jak rzęsa  
Przyłgnęła do okna  
Otwiera powieki  
Błokowisko osnute jesienną mgłą  
Drzemie  
Zbiera siły

Krąży fatamorgana barw  
Przekorny promień słońca  
Prostuje pazur

### Nadzieja

Jest jak „x”  
jak równanie z niewiadomą  
wciąż przeżywam ją na nowo  
idę w życie  
krok po kroku  
po jej amplitudach

tli się ciemną nocą

### Ulica w deszczu

barwa rozmyta w deszczu  
pali latarnie nadziei  
światło witryn  
kładzie cień uczuć  
(ma ludzką twarz)  
myśl jak ptak  
krąży nad konarami drzew  
przepelniona delikatną bielą  
mknie w nieznanie

### Wiosna

zagląda wszędzie  
widzę jeszcze szary obraz  
myśl budzę dreszczem tęsknoty  
oko pełne zachwytu

wiatr  
niesie zapach kobiety  
wypełnia przestrzeń  
nie wiem czy zostanie

wiosna

ile kroków z nią pójdę  
ile przeżyję wieczorów

o poranku  
uśmiechnę się  
że jest

## Lato

patrzę na horyzont  
mewa tańczy  
czuję muśnięcie wiatru

ziarnko piasku zadrżało  
kiedy ona szła obok  
śmiało się morze pragnień  
zmieniło kolor fali

ukradkowe spojrzenie  
utonęło w myśli

## Marek Dobrowolski

\* \* \*

myślnik  
jak westchnienie

nikt prawie go nie widzi  
wzrok prześlizguje się  
a usta nie wypowiedzą

czy więc warto było  
poświęcać się i gonić  
w wyścigu  
który teraz zapisany jest  
kreską

czyny dziesiątków lat  
ujęte w jedną prostą kreskę  
tak krótką  
że ginie całkiem  
pomiędzy datą  
śmierci i urodzin

czy więc warto

\* \* \*

chcę  
byś dojrzała przy mnie  
zmarszczką  
trwałą bruzdą  
świadkiem starzenia zegara

ogień z rodzinnego kominka  
płomień ku niebu skieruje  
by dymem ulecieć

a ja chcę by twój uśmiech pozostał  
i dopełnił czas  
nam pisany

\* \* \*

pomiędzy mną a śliwą zawsze wisi hamak gospodarz co roku  
wiosną zawiesza go a sznury jak pęta ściskają pień kora  
skrępowana dławi ale kiedy słyszę gospodarza śpiew  
*gdy tak sobie leżę pod gruszą* wszystko mu wybaczam

w zeszłym roku miałam znowu mało gruszek ale owoce  
były słodkie od słońca i co najważniejsze w mojej koronie  
wisi budka od lat gnieźdzą się tu ptaki cztery pięć młodych  
wylatuje w maju by świat śpiewem upiększać

słyszałam jak gospodarz mówił że gruszę trzeba ściąć  
nie wie że posadzono mnie na kamieniu jak na skale korzenie  
oplotły go ale wciąż uwiera tak jak ludzi kamyczek w bucie

już wieczór pomodłę się Ojcze nasz daj mi i całemu ogrodowi  
siłę by dotrzeć do wiosny daj nam dużo owoców i niech wreszcie  
zakwitną magnolie gospodarz bardzo je lubi wtedy rozwiesza hamak

## Barbara Gałczyńska

### Cztery pory roku

Przez gałęzie świerku czuję mój las

Zroszony poranną mgiełką i wrzosi..

Te jesienne, kiedy słońce gra na

Leśnych nutach i odchodzi w dal

Z szelestem złotych liści.

Miarowy rytm jesiennego deszczu  
Uderza o wielkie szyszki świerku  
Opadające, jak czas, pod moje stopy..  
Gdzieś dalej białą błyszczą brzozy  
By zapowiedzieć pierwsze płatki śniegu.

Pod puszystymi czapami kryją się  
Leniwe korony i widzę, że taki ich czas..  
Dostojny bór bezwolnie poddaje się ziemie,  
W srebrnym puchu odbijają się ślady  
Leśnych duszków przyczajonych przed wiosną.

Słońce w odwiecznej symbiozie z ziemią  
Budzi przez mchy ulotne barwy..  
Zawilce pokazują bajkowy kobierzec  
A łąka tętni wielobarwną paletą,  
Która jest zapowiedzią lata.

Na rozpalonej polanie króluje balsam ziół,  
Dęby i buki odważnie podnoszą ramiona,  
Rozdygotane letnie powietrze przemyka  
Przez zielony las i odbija w słonecznej  
Kałuży zwiastunów kolejnej pory roku.



## Tuż obok

Kreślę obraz lasu pobieżnie  
i czuję go blisko  
na wyciągnięcie dłoni.  
Pełen spokoju i ufności.  
A drzewa?-znam ich mowę.  
Widzę ich smutek i marzenia-  
one uzupełniają ten szkic.

## Słoneczny koncert

Przez uchylone okno domu w lesie  
Wpadł rozpędzony promień złoty.  
Musnął firankę, podłogę, kwiatom  
Dodał barw nowych i blasku.  
Siadł samotnie na klawiszach fortepianu  
I grał wszystkie nutki złotej kantaty.  
Nagle... dobiegło koncertowanie leśnych  
Skrzypiec i złoty flet grał..  
I to leśne muzykowanie rozbrzmiewało  
Po lesie wesołym, kołysząc stare drzewa  
Do złotego snu...  
A na ścianie stary zegar grał swoim  
Tykaniem w złotym świetle słońca.

### Lato

Złote warkocze kłaniają się księciu,  
To książę – wiatr na białym rumaku.  
Tymotka pnie się jakoś niebotycznie,  
Kąkole, chabry mieszkają przy maku.

Mgiełką dymu z jałowca owinięta brzoza  
Składa listki swoje w pokornym ukłonie.  
Woń tymianku, macierzanki książę – wiatr unosi,  
Świerszcze koncert dają w malwy sercu-dzwonie.

### Wiatr

Wietrze smutny grający swoją pieśń  
Jak wędrowny trubadur, a może ptak?  
Wietrze naucz mnie wędrować w życia burzy!  
Zostań jeszcze – lubię, kiedy grasz  
Tak chciałabym ucałować twoje rozwiane włosy..  
Wietrze mój zostań...

## Witold Wawrzyniec Miedziak-Herodowicz

### Wenus i Mars

Taka byłaś filigranowa,  
ja obrażony,  
szłaś za mną wiernie,  
a ja bezczelnie  
nie obracałem głowy.  
A było jasno,  
na ciemnych włosach  
cudownie iskrzyło słońce  
i czarne oczy jaśniały smutne  
jak zachód –  
wieczornym końcem.  
Później poszliśmy jednak do ciebie,  
marzec wybuchnął majem,  
lecz kobiecując mi niebne życie  
usta pachniały rozstaniem.  
I tak trwaliśmy przez krótką chwilę,  
leciał nad nami czas;  
ty niespełniona w swojej miłości  
ja w złości.  
Wenus i Mars.

## Damian Eom Nowicki

### Piękna Czerń

Czarna wśród białego tłumu  
jedna żywa wśród martwicy  
Inny wygląd, inne myśli  
Inne, dziwne, obce, nieznanne

Murem stoją wszyscy, WON!  
Krzyczą, drą się wniebogłosy

Ona nowa, czarna, piękna  
ze swym dzikim błyskiem w oku  
Walczy śmiało w swych ideach  
dyszy, krzyczy wprost do nieba  
SEMPER VITAE!\*  
SEMPER VITAE!

Ostatnie ziarno żywej czerni  
zawsze da swój plon  
Na nic krzyki i sprzeciwy  
piękna czerń przetrwa wszystko

BO IDEA ŻYJE WIECZNIE!

---

\* SEMPER VITA (łac.) – *życie wieczne*

## Eligiusz Buczyński

\* \* \*

siedzę przy uchylonym oknie  
wchłaniając chłód wieczoru  
szukający swojej ómy

\* \* \*

przemierzamy długość i szerokość  
naszych plaż  
wciąż nienasyceni własnym snem  
znikamy pod powieką morza

\* \* \*

nagły atak słonecznych promieni  
taki jak przy rozsuwaniu zasłon  
rani nasze oczy  
oto cichy bunt wielkiej gwiazdy  
który każe nam szukać w miejscach  
o których w zaślepieniu zapomnieliśmy

## Epea 9

---

\* \* \*

czarna farba odchodzi  
z nocy  
i kapie na rysunek

podróżuję złapaną po omacku  
okazją  
w końcu samochód  
zwalnia  
i wychodzę otworzyć bramę  
między światłami reflektorów  
jak na scenie odgrywam rolę  
odźwiernego  
samochód wjeżdża na podwórko  
kierowca gasi silnik  
wysiada i zamyka drzwi  
zapada przeciągła ciemność  
stoimy po środku kartki  
bez domu  
i pomocnej ręki  
rysownika

## Ida Matysek

\* \* \*

Wystraszone anioły  
Stąpają po chmurach  
Zawieszono w przestrzeni  
Boją się stać ludźmi

Zamyślono anioły  
Wahają się gdzieś w chmurach  
Wystawiono na podmuchy wiatru  
Nie chcą być bogami.

Twardo stoją na Ziemi  
Z aureolą ponad chmurami  
Bujają skrzydłami w obłokach  
Trwają w niepewności niebytu.

Boją stać się ludźmi.  
Nie chcą być bogami.

### Amor i Kosiarz

Nad jednym człowiekiem dwie skrajności wiszą,  
Swym kiwnięciem palca jego losy piszą.

Jeden trafił w serce, drugi trafił duszę,  
A ciało pośrodku cierpi dwóch katusze.

Jedno chce do nieba, drugie do kochanki.  
Choć pragną jednego, obaj stają w szranki.

### Czterej Jeźdźcy Apokalipsy

Miłość, Namiętność, Nienawiść, Pasja  
– niepokromieni władcy człowieka.  
Pierwszy rozpali, Drugi zapłonie,  
Trzeci zwęgli, Czwarty rozbucha.

Do Nich należy cała historia,  
To Oni wciąż się reinkarnują  
Jako wojny, ugody, śmierć i pech,  
Ciągłe, jak Cienie, nas prześladują.

Wciąż, nieodłącznie, wskazują drogę  
Duchom zbłąkanym, niepewnym celu:  
Mnichom, żołnierzom, rządóm i ludzióm.  
Pilnują Cienia, aby nie uciekł.



## Do czasu

Kochanie, chcesz się porozciągać?  
Bo ja chętnie Ci w tym pomogę.  
Powiedz tylko, gdzie są granice nie do przekroczenia.  
Bo ja chętnie je przekroczę.

Tyranie bez władzy, chcesz się trochę rozerwać?  
Bo nam przydałaby się jakaś dziura.  
Pokaż tylko, gdzie masz szwy.  
Bo Cię chętnie od nich uwolnimy.

Wszechpotężny, o, Niedołężny,  
Jesteś już łykowany. Przejadłeś nam się.  
Utyliśmy od tego. Potrzebujemy więcej przestrzeni i ruchu.  
A Ty jesteś tylko specjalistą od iluzji.

Płynący nieubłaganie, o, Stojący w miejscu,  
Ileż istnień porwałś w swój bezruchomy nurt?  
Pozwól nam nagiąć Cię do naszych potrzeb.  
Wyzwól siebie.

### Homo myśli słów

Jak wyrazić swoje myśli,  
gdź w języku słów tak mało?  
Kiedy w mózgu sto obrazów  
na sekundę się pojawia?  
Jeśli wszystko, o czym wiem,  
to emocje i uczucia,  
intuicja i wyobraźnia?  
Kiedy nie ma nie na tak,  
kiedy nie ma nie na nie?  
Gdy znajduje się tam wszystko,  
ale słów nie ma w ogóle?  
Tylko wszechświat mnie rozumie –  
jego język to pragnienia.  
Ale homo myśli sapiens  
potrzebuje tutaj słów.

### Krzyk

Uderzasz w stół,  
A nożyce milczą.  
Wszystko inne również.  
Żadna filiżanka nie zabręczała o spodek.  
Żadna łyżeczka nie zadzwoniła...  
Czemu nikt nie chce wspomóc twojego krzyku?  
Czy nikt go nie usłyszał...?  
Prosisz: Powiedzcie coś!  
Powiedzcie, że możecie mówić...!  
Powiedzcie, że nie jestem sam...!

## Jesienny las

Drzewa płoną barwami jesieni,  
choć jeszcze czuwa nutka zieleni.

Wiatr śmieje się, chichocze,  
między szpalerami drzew.

Czasami się zapłaczę,  
liście z gałęzi poderwie;

A one zawirują,  
tu i tam poodlatują,  
świat w czerwieni wymalują.

Wszystko płonie barwami jesieni.  
Już niedługo się to zmieni.

## Do człowieka

Rozmawiasz. Nieważne, z kim.  
Żegnasz. Nieważne, kogo.  
Pichcisz. Nieważne, komu.  
Oglądasz. Nieważne, co.  
Zasypiasz. Nieważne, w czym.  
Budzisz się. Nieważne, gdzie.  
Wstajesz. Nieważne, w czym.  
Wychodzisz. Nieważne, skąd.  
Wracasz. Nieważne, dokąd.  
Siadasz. Nieważne, na czym.  
Nieważne, co ty robisz,  
bo robisz to bez celu.  
Nieważne, z kim przebywasz.  
Ważne, czy i kim jesteś.

### O chłopie i młocie

– Chciałbym nowy młot –  
prosił bardzo chłop –  
co się nie rozpadnie,  
gdzie na metal spadnie.  
– Mam tu specjalny stop.  
Zrobiłem z niego młot.  
Wykułem go ładnie,  
więc się nie rozpadnie –  
rzekł kowal – A gdzie młot?!  
I ruszył w chłopą trop.  
– Co za chłop, że kradnie?!  
Przecież to nieładnie!  
A tym czasem chłop  
Znalazł szereg szop.  
Ukrył się dokładnie,  
myśląc, że nie wpadnie.  
Wtem wszedł kowal zgrabnie:  
– Gdzie ten chłop, co kradnie?!  
A niegrzeczny chłop  
patrzył tylko w strop,  
aż otrzymał kop.  
I chłop oddał młot.

Oto był mały  
Zarys historii kabały.

## O wieszczu z kleszczem idącymi przez burzę

Wieje wiatr, leje deszcz,  
nie chce pływać nawet kleszcz.  
Ustał wiatr, słychać grzmot.  
Przerywany ptaków lot.  
Wieje wiatr, siecze deszcz.  
Przez tę burzę idzie wieszcz.  
Niesie wieszcz świecę, knot.  
I znów słychać gromu grzmot.  
W torbie wieszczka leży kleszcz.  
– Weź tu, panie, kleszcze zmieszcz!  
Wieszczka z kleszczem mija chłop.  
– Cóż to? Pasożytów zlot?  
– Nie – odparł z kleszczem wieszcz.  
– Tak – zakrzyknął z torby kleszcz.  
– Sorry, nie rozumiem w lot –  
przeprosił zdziwiony chłop  
ruszając w dalszą drogę.  
– Zrozumieć ich nie mogę.

## Joanna Pisarska

### Kiedy myślę Nazaret

\* \* \*

Twoje zwiastowanie  
przychodzi w ciszy  
puka do drzwi  
delikatnie naciska klamkę  
upewnia się

czy zechcę otworzyć  
czy zaproszę  
czy zauważę

\* \* \*

jeszcze się nie narodziły  
Twoje ogrody pukałeś

biała szata Zwiastuna  
stopy nie za lekkie  
nie za mocne

słowa jak motyle  
jak winogrona

czy nie przestraszę się  
tego zaufania

\* \* \*

kiedy przychodzisz  
staję się kościołem

zapala się światło  
wiecznego czuwania  
pachnie kadzidło  
Mędrców  
z dłoni kapie mirra

jak w Pieśni nad pieśniami

\* \* \*

ciepło Boga

ukryte pod sercem  
w koronce miłosierdzia  
w milczeniu tabernakulum  
bezbronnie w dłoni

jak ogarnąć to  
co jest nie do wiary

\* \* \*

Maryjo

w rozmowie z aniołem skupiona  
w pokorze stanowcza  
w posłuszeństwie zasłuchana

naucz mnie wierzyć  
w bliskość Boga

## Sabina Alicja Kowalewska

### Prowadź nas gwiazdo

Niechaj nam gwiazda zawsze świeci  
nocą, w każdy dzień,  
oby wiara nie zagaśła,  
nie odeszła w cień.

Niechaj zawsze nam rozświetla  
wszystkie wzloty i upadki,  
siły, mocy wciąż szukajmy  
w żłóbku, u Jezusa Matki.

Bo gdy gwiazda nam zagaśnie,  
zmierzch otoczy ziemię -  
gdzie pomocy będzie szukać  
adamowe grzeszne plemię?

Gwiazda niechaj rozjaśnia  
wszystkie mroki ziemi.  
Z gwiazdą idąc ku Betlejem,  
nigdy nie zginiemy.



## Irena Słomińska

\* \* \*

tutaj liczy się nawet puszka  
datę ma równo wypisaną na denku  
i co z tego że pusta

tyle kwiatów i śmieci za to obraz  
piękny  
wynika z wnętrza ściany i ściele się  
w półmroku  
ściany są nietykalne malowane foremki  
w czystą spadzistość zakrzepłe

z rana  
wstaje śmieszny stary mężczyzna długo  
pożółklej igły na dnie serca szuka  
rozdrapuje zszargane nerwy do zacerowania  
pozostał mu jeden obraz –  
wielka encyklopedia patrz Sztuka

## Epea 9

---

\* \* \*

tworzyłeś mnie przez długie lata  
na skrzyżowaniach ulic  
żył  
aż nabrzmał ci świat  
i krew  
uderzyła do głowy

pieściłeś mój marmurowy  
posąg wpisywałeś go w krajobraz  
w międzyczasie wyrastały nowe bloki i osiedla  
sklepy  
zmieniały barwy swych neonów

miałam być niezmienna jak wartość  
a wartości otrzymywały ciągle  
tylko nowe etykiety  
znaki  
jakości

i wiedziałeś przecież doskonale  
że pod skórą posągu burzył się świat  
krwinki czerwone i białe  
wychodziły z transparentami na ulice

a dla ciebie pozostała niezmiennosc  
pieszczota dni nieruchomych  
i to hołubione wewnętrzne  
piękno

dlaczego  
krew ci nagle uderzyła do głowy?

\* \* \*

czuję twoją obecność duszną  
nocą  
przychodzisz by dać mi znak  
nie widzę cię wiem  
że wyciągasz ku mnie  
rękę  
wciąż nas wiąże  
twoja nieistniejąca już krew  
z moją żarliwą krwią  
nie mówisz o Bogu to co wielkie  
zawsze kryje się w cieniu  
możesz mi tylko na powietrze  
rzucić swój krzyż – krzew różany  
którego pnącza układają się w znaki  
zapytania  
nic nie jest już dobrem  
wszystko jest prawdą  
zrzucam kolejne skóry po grzechu grzech

w powietrzu lekko unosi się mgła  
dusza  
tajemnicza praludzka  
egzystencja

\* \* \*

to tylko szare niebo błotnistych krajobrazów  
nawisa ciężkie deszczowe a ruch  
chmur  
zaskakuje jak każda forma ruchu  
ociężali świadomi granic czy granice  
świadome są nas?  
za szarą prześwietloną taśmą mgły  
bloki mieszkalne jak zwaliste skały  
tylko z balkonów  
jak latawce  
opadają spojrzenia  
jak w tę nieruchomość nieuchronność wpisać  
nieustające pragnienie  
nieokreślone pragnienie  
Bóg pokoloruje słońcem monolity brył  
oczy okien rozjarzy blaskiem  
wyłuska z nieprzytulnego pejzażu dzieci z piłką  
na dachu kiosku warzywnego rozpali ognisko  
promieni  
skupionych jak w soczewce w odprysku  
zapomnianego szkła  
wszystko prosto da się tłumaczyć w feerii koloru  
wszystko prosto da się tłumaczyć z bożej  
łaski  
i my cofnięci o krok o dzień  
zmęczeni wędrowcy na wytartym szlaku  
klatki schodowej  
w rozkwitłej nagle kapuście w napuszonej cebuli  
w ceglastrobrudnej barwie murszejącej marchwi  
tak jak celowość okien  
odnajdziemy w sobie nadzieję

\* \* \*

i gdzie są twoje bunty wyblakły prometeuszu  
gwałcący mrok iskrzeniem zapalonego papierosa  
i gdzie są nasze demokracje czy  
wyrzucone na orbitę maleńkiego ogródka  
też są dowodem na to że nasz świat pozostał  
najlepszym ze światów!  
miasto się sprzysięgło przeciwko nam  
tłumami obcych ludzi nicuje oczekiwania  
i tylko nasza zgoda na miłość chroni  
ten ostatni przyczółek  
malowany azyl

### Jesień

żółte dni całopalenie  
słoneczne krzyżowanie  
taka ostra nasycona  
krew ginących liści

żyłaste  
prawie że ręce  
aż męką Chrystusową  
wieje wiatr  
śpiewa po schodach  
toczy się jazda  
sami pancerni  
prosto w serca

a oczy spalona glina  
a przeznaczenie  
wysączony dzban  
zdałaby się kropla błękitu  
w taką pogodę  
jak

wąsy wiarusa  
zawinięty horyzont  
chmurę wziąć by za pas  
i nad tą misą  
rozpostartą  
połknąć  
zakotwiczony czas

przeszyć by tak  
obumarłe oczy  
tak jak  
zabija się pokonanych

## Regina Świtoń

„i”

i znowu przyszło mi żegnać lato  
i znowu jesień witać mi trzeba  
i nie wiem jak długo tęsknić będę  
do kromki gorącego nieba  
i czy wystarczy garść płomienia  
zanim go z liści wiatry nie zwieją  
i jak ten blask we wnętrzu duszy  
rozniecić by zapłonął nadzieją?

### Las

tu wschód wciska w alkowy  
rozespane oczy  
złotoczerwone korony  
do głów sosen przymierza  
tu wiatr piano pianissimo wtóruje  
do szeptu porannego pacierza

## Epea 9

---

\* \* \*

nad horyzontem śniegi błyszczą  
jak złote tarcze  
rozlała się ogromna ikona zachodu  
wieczór gwiazdy rozwiesza  
na ramionach jodeł  
purpurowieją jałowce  
nieruchomi strażnicy ogrodu

mróz brylantowym płomykiem  
ziemię rozpala  
perłową ciszą  
otula drzewa  
dusza z trosk dnia wyzwolona  
dziękczynny psalm Panu śpiewa



## Józef Suchocki

### Przy grobie św. Brunona

Tak  
Wierzę w aniołów i świętych  
Spuszczających drabinę  
Z nieba na ziemię  
I w te pióra – puchy anielskie  
Spadający z otwartej bramy  
W wyciągnięte dłonie  
Takie ciepłe  
Takie miłe  
I tak cudownie  
W ramiona wtopiły się  
Podrywając dziecię  
do lotu

## Wzgórze Świętego Brunona

Bramy mają swoje zamki  
I mają swoje klucze  
Ziemia warmińska ma świętego Brunona  
I wzgórze z krzyżem

Dla tej miłości  
I grzesznicy, co obmywają się w ofierze  
Mają skrzydła w niebie

Nie polecę dalej!

Lecz wiara, wiara człowieka  
Widzi cię tam w nieskończoności  
Prawdę, drogę i zbawczy łąd  
Choć zasnuty woalem światła gwiazd  
Serce słyszy twój głos w łonie  
I zakwita i życiem płonie

I bliskości pragnie

## Ewa Danuta Stupkiewicz

\* \* \*

za oknem  
pożółkłe brzozy  
na straży  
zielonego lasu

wzrokiem  
zbieram grzyby  
rosnące  
w omdłałym listowiu

niebo  
rozdmuchane chmurami  
wiąże  
słoneczny blask

oddycham  
odległą przestrzenią  
tężni  
o słonym soku

### Przemijanie

czerwone  
buki i klony  
ogniem  
słonecznych promieni  
dobędą  
wnętrza rozpaczy

### Trwam

Znowu  
odzyskuję  
moc świadomości  
bycia  
dzieckiem  
tej ziemi

\* \* \*

Niebo uparcie płacze.  
Gubi łyżę w kałużach.

A ja tak pragnę w wodzie  
palce swe zanurzać.

Nie deszcz mnie tu sprowadził,  
lecz brzegi morza te.

Chciałam odpłynąć falą.  
Zapomnieć chwile złe!

Już wiem, zbiorę bursztyny.  
I piaskiem sypnę wstecz.

Muszli odbiorę szумы  
i wodzie zbraknie łyż.

Wrócę uparcie latem,  
do słońca wzniosę twarz.

Zasnę ubrana w ciepło.  
Otulę spokój w nas.

## Włodzimierz Sawczuk

\* \* \*

Pod tą kładką  
niby mostem  
strumyk głaszcze  
brzegi rude  
woda szemrze  
coś pod krzakiem;  
– czy pojedą  
przez Rospudę?

Stał ekolog oświecony  
podniecony wypoczęty  
czekał na okazję swoją  
mocząc kija bez przynęty

– niech się „szczupak”  
nie panoszy, chociaż  
jest dla siebie klasą  
na Podlasiu ekologia  
a Rospuda jej okrasą!

*Białystok, 18.01.2010*

## Kiedy jestem sam...

*Wiersz poświęcony Wiesławowi Kazaneckiemu*

Przychodzisz do mnie  
jako drużba  
„powiernik losu” – Boży sługa  
przede mną jeszcze  
droga prawdy, więc  
muszę wytrwać  
– idźmy już.

Wpatrujesz się w kwitnące sady  
prześwietlasz dusze starych domów  
pytasz o przyszłość swoich dzieci  
bo dojrzewały w tamtym domu,

Twój czas odradza się na nowo  
jest jakiś album treść i plakat  
tylko poezja straciła duszę  
pozostał po Tobie w mieście wakat.

*Białystok, 30.12.2009*

## **Prawdo! – dokąd odeszłaś...**

A gdybym Cię uprosił  
wymienić cierpienie na rozsądek  
A gdybym Cię unosił  
wielbieniem ponad wszystkie,  
czy mogłabyś zrozumieć  
przeszłość chorobliwą,  
w której brakuje człowieczeństwa.

Nasza tożsamość dopala się  
przeżyliśmy czas w ciszy  
brakuje tylko przebaczenia  
aby historia minionych lat  
mogła wyjść z wilczej skóry.

W starym domu  
na zapiecku, kożuch  
wywrócił rękawy w pokorze  
wiatr wyje w kominie  
prosi o wybaczenie  
wszystkich pokrzywdzonych.

*Białystok, 17.01.2010*

## Janina Puchalska-Ryniejska

### Życie

to jakby tylko  
kilka chwil

pomykają niepostrzeżenie  
losu torem

trwasz  
wplątana w codzienność  
pośród światła i cieni  
radości i burz

nawijasz  
pasemka marzeń  
na kłębek istnienia

mogą prysnąć  
jak zwątlona nić



\* \* \*

popatrz  
jak ROK prezentuje  
swoją jesień

spójrz  
jak zaznacza jej bieg  
i owoce

rumieńce sadów  
zielone suknie ozimin  
jarzębinowe korale  
wrzosowe kilimy zdobione  
złotem brzoź

za oddalającym się  
słońcem  
zasiewa ciszę i  
tęczę szarości

człowieka wplata  
w mgiełkę zadumy by  
policzył

ile to już lat...

## Epea 9

---

\* \* \*

półmrok  
za szybami okna  
blednie  
we mgle ciszy

wschodząca luna  
rozmywa senność

w akordy dźwięków  
coraz bardziej słyszalne  
przystraja naturę

witam cię  
moja codzienności  
i chwalebna i cierpka  
z fantazją pomysłów  
wstążkami marzeń  
nadzieją spełnienia

Panie Boże, dopomóż!

\* \* \*

ukryte  
w zaułkach pamięci  
liryczne chwile  
jak w lustrze  
odbijają obrazki  
z dzieciństwa

miłość rodziców  
codzienny trud  
składany na ołtarzu  
wiejskich obowiązków

wyrośłam  
w ognisku serdeczności  
z jej prądem płynę wartko

## Epea 9

---

### W puszczy

wrześniowe słońce  
po łzawej aurze  
zasiewa jasność

zadumane drzewa  
ślą lekki ukłon  
błękitnemu niebu

owady  
tańczą  
wśród złożonej zieleni

dąb przystraja żołądziami  
mszalną poduchę

kołyszące się  
we mnie obłoczki myśli  
niczym babie lato na wietrze  
przywołują smaki  
leśnych owoców

w ustach spiętrzają ślinkę

## Paweł Oniszczyk

### Ognie na skałach

Ognie na skałach, filozof w dresie,  
Ta boska cząstka, w boskim zakresie?  
Próbki trawy i próba płomienia,  
Wyryta w czasie, bronią z kamienia?

Okruchy lodu, zimne i mocne,  
Czy się roztopią, patrząc na wiosnę?  
Czy krwawy metal się w końcu ugnie?  
Ach, to spotkanie w ciemne południe?

W cztery oczy, przy ogniach na skałach?  
Gdzie ziemia dwie moce zespałała?  
Jak ostrze noża, jak w duszy cienia?  
Annały boleści, akt cierpienia?

Nasz teren poszedł w dal nieistnienia  
I nic z niego nie mogło pozostać,  
Lecz czy my możemy temu sprostać?

Razem, bez siebie, rzucając przeszłość,  
Choć i od tego, ktoś może szczeznąć.  
Ognie na skałach, na świata kresie,  
Tego złego miejsca nikt nie zniesie.

### Z pamiętnika kartografa

Mroczny sztylet. Tnie ten zgniły papier  
I niczym zdechły klakier  
Podburza zło do stojącej owacji.  
Cóż,  
Któż nie byłby bez racji  
Tknąwszy swym jestestwem źdźbło  
Tego oto stanu rzeczy.  
Stanu rzeczy, który jednoznacznie  
Mówi, oznajmia nam, na czym stoimy.

Bo Pan stoi, a i Pani stoi, raczej  
Diabły winny stać obok siebie, nie inaczej,  
Jakaż to by była topografia terenu,  
Jakaż to by była mapa,  
Gdybyśmy nie nosili zakrwawionych okularów,  
Nacechowanych przyrządów pomiarowych,  
A wszystko kreślili wedle życzenia Państwa?

Mapa, choć wiadomo, że jest mapą,  
Staje się Prawdą.

Tym lepiej kartografom.

## Perypetie

Interferują ze sobą.  
Ach, nadają na tych samych falach!  
Ha, nie ma mowy o nieporozumieniu!  
Ale i o kompromisie.

Konsatują prawdy  
Nieprawdę zawierające.  
Tutaj nic, jak tylko kombinatoryka prawdy-  
Łamiesz algorytm, łamiesz zawias,  
Wyciągasz kłamstwo przed nawias.  
Łamiesz ogólną normę, etykę, zasady,  
Tymczasem tu nie ma zasad.

Z wyższej perspektywy widać ujęcia:  
Nieszczerości myśli, myśli rozbierające,  
Jakby to miało w czymś pomóc!

Wyróżniamy wiele perypetii, słodka pani.  
W tej ciemnej jest pani jak najbardziej do twarzy.

## Kulturalny melanż

Nakładam szare adidasy  
I wyruszam na nocny melanż

Światło latarni  
Twardy chodnik  
Zapach spalin  
I kolor mojej marynarki

To jest podróż  
Przez kontrast światopoglądów  
Przez system wartości  
Przez filozofię życia  
To nocny melanż

Tam leży kropla wody  
Albo benzyny  
A tam spoczywa pijak

To jest nocny melanż  
Przez cywilizację  
Przez tajemniczą noc

Jutro tu wrócę  
Powitany szczekaniem psów.



## Impresja

Błękitny obłoku, jak lapis lazuli,  
Śród miękkiej ciszy...

Było słońce. Było.  
Postawiłaś stopę  
Jego światło pierwsze ją ogrzewało.  
Musnęłaś powietrze  
Ono pierwsze to odczuło  
Wyciągasz rękę  
Ono najmocniej to przeżyło  
Twoje słońce  
Przebija się przez taflę wody,  
Ale niczego nie widzi

Po co było skrywać to, na dnie?  
Aż na dnie?  
Tajemnica dla pacyfizmu?

Słońce zachodzi.  
Symboliczna łza, górnolotna poezja.  
Spotykasz się twarzą w twarz ze srebrzystą poświatą  
Mój pobłażliwy uśmiech,  
Bo Twoje słońce wszędzie inne.

## Ryszard Kondratowicz

### Lotos

Z rozbicia jądra atomu  
rozkwita Lotos  
I ja właśnie rozkwitam  
Musisz Go pokonać

Nie ukradniemy kurzu ze swojej przeszłości  
ani ducha z umysłu  
Jest cesarzem i brat mój jest mi nieobcy

Świat przekręcił się dookoła własnej osi  
Wyszły spod niego  
serce do serca  
przykładam je  
jesteśmy własnością Paramatmy.

## Anna Woszczenko

### Niespełniona Miłość

Gdy ja pięłam się po schodach  
Do serca twego  
Ona zburzyła przede mną  
Te ostatnie piętro  
Zbudowała windę i nacisnęła przycisk  
Do dziś się tym szczyci

Ty zaślepiony  
Nic nie widziałeś  
Nic nie czułeś i nic nie myślałeś  
Lecz ja to zmienię i dopnę swego  
Pozbędę się wszelkiego złego

Będziemy razem po wszem czasy  
Aż miłości nam wystarczy

### Wśród wierzb

Wśród wierzb płaczących  
Mnie spotkasz i nie poznasz  
Całe szczęście ze mnie ucieknie  
Z tęsknoty za smutkiem  
Całe życie się zmieni  
Będę czuć się wyrzutkiem  
Starość mnie ominie  
Bo umrę młodo  
Z tęsknoty za Tobą.

**W próżni**

Zbyt silna by umrzeć  
Zbyt słaba by żyć  
Tak w byciu teraz  
Na pograniczu jestem  
Nie żyję i nie umieram  
Jak widmo  
Co snuje się latami  
Nie czuję i nie myślę  
Tylko jestem

## Paulina Żarska

### Stosunek miłości

z warg do warg  
z oczu do powiek zamkniętych  
iskra miłości, w tym pożądanie  
jego rozkosz, jej szczere oddanie

myśli błędzą, pragnienia zderzają  
chłoną rzeczywistość, w rezygnacji zamierają  
niebo ciemnieje, gwiazdy spadają  
lgną serca do siebie i znów się bratają

\* \* \*

...pomóż jej, pomóż nim dzień was zaskoczy  
pomóż jej, pomóż, ulecz ją z nocy...

Straciłaś już skrzydła, zgubiłaś swą drogę

odejdz stąd,  
odejdz nim staniesz się wrogiem

Zabierz mnie! zabierz! nie słuchaj co mówią!  
będę twą muzą, będę twą sługą  
Zabierz mnie..., zabierz ze sobą...  
spójrz, umiem kochać, być życia solą, spragnionemu wodą

## VI Otwarty Konkurs Poetycki „Majowej Konwalii” im. Ks. Ryszarda Kotkowicza

*I cóż winnaś poezjo, że nie dajesz chleba,  
Że gdy kogo ukochasz – najczęściej ma kwiaty  
Lub złoty laur na głowie, lecz na butach łaty  
I zimą bez paltota liczy gwiazdy nieba?*

Autor: Aleksander Michaux, *Wiersze*

Przyszedł maj i wasilkowska ziemia po raz szósty rozkwitła kwiatem poezji. Otwarty Konkurs Poetycki „Majowej Konwalii” w tym roku przybrał imię Ks. Ryszarda Kotkowicza, niestety nie żyjącego już, wielokrotnego jurora naszego konkursu, ale przede wszystkim wspaniałego, człowieka i kapłana – poety. Bardzo cieszy nas fakt, że konkurs z roku na rok się rozwija i cieszy się wciąż niesłabnącym zainteresowaniem. Tegoroczna edycja przyniosła nam prace z wielu zakątków Polski, min. z Gliwic i Inowrocławia (dwa równorzędne pierwsze miejsca). Nie zawiedli również i podlascy twórcy, związani na stałe z naszym regionem. Prace konkursowe nawiązywały do cytatu Ks. Ryszarda Kotkowicza:

*można mieć skrzydła ułożone do lotu  
oczy wpatrzone w błękitniejącą przestrzeń  
nogi w pozycji odbicia  
a tkwić jak muszka  
w kropli rosy wiszącej na nitce pajęczyny*

Prace uczestników konkursu wprowadziły nas w świat przepętniony miłością, tęsknotą za tym, co w nas przemija, co dla ludzkiego oka nieuchwytnie i tylko duszą dostrzec to można. Poezja pozwoliła nam przemierzać polne ścieżki, cieszyć się pięknem przyrody, bliskością drugiego człowieka, a nawet zapachem „wiejskiego” chleba. Oceny prac dokonało szacowne jury w składzie: Pan Jan Leończuk – poeta, tłumacz, dyrektor Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego

w Białymstoku, Pani Małgorzata Rokicka – Szymańska kierownik Biblioteki Publicznej Powiatu Białostockiego, oraz Pani Irena Grabowiecka prezes Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Poniżej zamieszczamy wybrane prace zwycięzców konkursu. Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się idei naszego przedsięwzięcia.

---

Jacek Brasławski – Miejska Biblioteka Publiczna w Wasilkowie

---

## Danuta Zasada

### układ z Gabrielem

umówmy się że będzie tak:

pójdę krawędzią – ekstremalnie  
ty będziesz trzymał mnie za frak  
i równowagę wszywał w pamięć

i każdy ruch i każdy krok  
lawinę wzniesi w mej przestrzeni  
a ty utrzymasz mimo to  
by mnie horyzont nie zacienił

i chociaż halny oraz szkwał  
a nawałnica zgasi lato  
ty będziesz zawsze przy mnie stał  
i co skrzydlaty – idziesz na to?

przyziemną oddam światu część  
a tobie duszę wiecznie głodną  
byś z niej ocalił co tam chcesz  
nim czarci męt uczyni pogrom

w rejestrze księgę tylko wpisz  
dwa słowa co się ze mną zrosły  
niech sobie dźwięczą pośród ciszy  
jak roztańczony wiatrem kosmyk

### sobie...

któregoś dnia odejdę w ciszy  
siadłszy na zboczu jakiejś góry  
bez spowiadania światu przyczyn  
i bez obrazy praw natury

w obojętności ciepła słońca  
w fantazję wiatru zamotana  
z myślą co ptaki w locie trąca  
z ostatnim wierszem na kolanach

spojrzę w dolinę kolorową  
co jak gobelin u stóp skały  
ostatnie zapisują słowo  
na skrawku nieba piórem białym

kiedy nie będzie już istotne  
co boleć musi co powinno  
i to że w słońcu czasem moknę  
i nie potrafię już być inną

chwila nadejdzie cichym zmierzchem  
anioł rozdzieli włos na czworo  
w zamian oddając sny i przestrzeń  
zgodnie z ostatnią moją wolą



## Mirosław Puszczykowski

### Zapomniana kapliczka

już z daleka widać  
że nikt tu nie przychodzi  
drewniane poddasze  
zagospodarowały ptaki  
smutnej Pani  
deszcz pozmywał  
resztki farby  
różaniec ktoś zabrał  
to dobry znak

kiedyś cała wioska  
zbierała się u jej stóp  
od kwiatów i świeczek jaśniało  
pieśni dziękczynne i błagalne  
sięgały niebios  
dziś starsi już odeszli  
młodszy na chleb  
zarabiają w obcym kraju

dziś kapliczkę opanowały pająki  
po daszkiem szerokim  
jakby szybującym po niebie  
myślą że bliżej Pani  
choć im się poszczęści

### Cisza

widziałem ciszę  
siedziała na mieczach tataraku  
przyglądała się jezioru  
palącemu się mgłą

widziałem ciszę  
siedziała na kamieniu  
poruszała chabrami  
nie kołysząc czerwonych maków

widziałem ciszę  
siedziała na kropli rosy  
bująca się na pajęczynie

słyszałem ciszę  
dudniła tak  
że nie słyszałem  
przelatującego motyla

słyszałem ciszę  
opowiadała mi o aniołach  
wędrujących po ziemi  
o echu kościelnych dzwonów  
zmiękczającym zatwardziałe serca

## Roman Kowalewicz

Historia jak sztandar zależna od wiatru.

Wizja szklanych domów szybko pryska przy pierwszym uderzeniu młotka rzeczywistości.

Kłamstwem można przejść całą drogę, tylko jak potem wrócić.

Za towar płaci się pieniędzmi, a za prawdę nawet własną głową.

O prawdzie najczęściej mówią kłamcy.

Gdyby prawda zawsze była piękna, to siewcy kłamstw nie byłiby potrzebni.

Prawda nie zawsze się opłaca, ale spokój duszy tak.

Największe role przypadają kłamstwu, prawda gra epizody.

Prawdy stare jak świat, tylko koneserów staroci coraz mniej.

Lustro prawdy obnaży wszystkie nasze zmarszczki.

Twoja prawda miarą twojego postrzegania.

Największa wiara prawdy nie zastąpi.

Aby poznać prawdę, patrz na nią z każdej strony jej istnienia.

Prawda, która przez wieki przechodzi przez wiele ust, przestaje być pierwowzorem.

Po prawdzie to nikt nie lubi prawdy.

Strach jest pojazdem bez kierownicy.

## aforyzmy

Przebaczenie jest uleczeniem zadanego bólu.

Prawda ślepcy jest prawdą wyobraźni.

Największym dziełem postępu jest zrobienie z człowieka małpy.

Garść cierpliwości zatrzyma tryby zniecierpliwienia.

Ciszą serca można powiedzieć więcej niż potokiem słów.

Słowo dotknięte mądrością to oaza na pustyni pustostłowa.

Nawet w największej nędzy jest bogactwo.

Są granice zła tak subtelne jak pajęczyna w słońcu.

Miłosierdzie i litość jak poranek i zmierzch.

Gdy każdy sobie Salomonem, to prawda przestaje być widoczna.

Są prawdy, które wydają się nam tak oczywiste, że nie dostrzegamy ich prawdziwej głębi.

Słodkość kłamstwa jest słodkością chwili, później pojawia się gorycz.

To nie świat stawia nam granice, granice stawiamy my.

Miłość to stan lekkości, który jest promieniem w ramionach światła. To trwanie ponad czasem, pragnienie wszystkich.

Najsmutniejsze jest to, że człowiek nie uświadamia sobie przez grzech co utracił i czym jest miłość.

## Kazimierz Słomiński

Przed samym sobą można odgrywać teatr jednego aktora.

Pazerny okrada samego siebie.

U końca perspektywy czai się fatamorgana.

Na balu maskowym nikt nie musi udawać, że ma twarz.

Definicja określa, co przez pojęcie usiłuje się pojąć.

Na dywaniku można higieniczniej się płaszczyć.

Krótką pamięć lubi być brzydko sztukowana.

Plotki mówią, z kim pospolitują się niepospolici.

Wytrawny demagog może udawać, że jest półśłodki.

Toksycznymi ideami piekło brukowane.

Dewotki z natury są pobożne na jedną modłę.

Drabina społeczna? Byle nie oparta o ścianę płaczu.

Filozofia mówi nam o wyższości poglądów nad tym, co naprawdę możemy zobaczyć.

Wystrój naszego wnętrza decyduje o tym, czy jest nam przytulnie.

Mój garb jest moim domem – jak mawiał pewien ślimak.

Ogłupieni grzecznie maszerują po rozum do bezhołowia.

W nieomyślności błędu tkwią podstawy logiki.

## Aforyzmy

Nawet najlepszy szczebel kariery nie zastąpi małpie utraconej gałęzi.

Wkrótce ludzie przestaną wiedzieć, że masło powinno być maślane.

Człowiek – najlepiej, jak brzmi po ludzku.

Wielkość człowieka sprawia, że mieści się on w sercu.

Na wyższym szczeblu ma się większe możliwości bycia niemożliwym.

Bez konserwantów i polepszaczy demokracja mogłaby być niestrawna.

Zegar przesuwa czas z niebytu w wieczność.

Czas jak zegar – powoli tyka, a od czasu do czasu bije.

Nasze winy łatwo nam nie odpuszczają.

Pieniądze mają nas gdzieś.

Kobieta lubi świecić światłem odbitym od świecidełka.

Światopogląd może przeszkadzać w widzeniu świata takim, jakim jest.

Do swojego szczęścia też trzeba czasem się uśmiechnąć.

Nie pożądam mamony. W zbliżeniach bywa nieobliczalna.

Miejsce na ziemi trzeba odnaleźć we własnym wnętrzu.  
W szkole życia zawsze znajdują się lepsi od prymusów.

Nie wszystkim jednakowo służą zbliżenia ducha z ciałem.

Ludzka małość też ma kompleks, że większa nie urosła.

Możnym wydaje się, że mogą.

Regina Kantarska-Koper

## „Ziemia pełna łaskowości”, czyli kilka uwag o antologii białostockiego NKL

### Na skrzydłach słów

W 2009 roku Nauczycielski Klub Literacki w Białymstoku obchodził 40-lecie swojej działalności. Z tej okazji została wydana antologia poezji członków Klubu pod redakcją jego Prezesa – Ireny Grabowieckiej.

Antologia „Na skrzydłach słów” poświęcona jest tematyce: Natura – Bóg – Człowiek. Ten pomysł Ireny Grabowieckiej jest bardzo trafiony, ponieważ zawiera wszystko, co najważniejsze, najistotniejsze w życiu. Jak pisze Leszek Utrata w artykule „Bóg, człowiek, natura – teologiczna odpowiedzialność za naturę” (Internet) – świat jest doskonały, jest idealną całością. Nie przypadkiem nosi nazwę „Kosmos”, co oznacza ład, porządek, harmonię. Tak skomplikowane, celowe organizmy, struktury nie mogą być dziełem przypadku. Bóg jest Stwórcą, Właścicielem, Władcą Kosmosu, nadaje sens istnieniu. Skoro uznał stworzony przez siebie świat za „bardzo dobry”, tym samym wyznaczył kierunek, jak świat ma być traktowany i wykorzystywany. Korona stworzenia – człowiek – ma wyjątkową rangę w kosmosie. Wszystko jest dla niego – ma panować nad stworzeniem, nadawać imiona, uprawiać ziemię. Ale człowiek jest tylko zarządcą w imieniu Stwórcy. Nie ma prawa obchodzić się z czymkolwiek jak ze swoją własnością. Nie ma prawa doprowadzać świata, środowiska, innych ludzi ani siebie do degradacji, destrukcji. Każde działanie, które sprzeciwia się Bożemu porządkowi, jest nielogiczne, szkodliwe i prędzej czy później mści się na człowieku. Świat – to nasz dom, karmi nas, daje schronienie. Należy się o niego troszczyć. To samo dotyczy naszego ciała. Jego niszczenie jest równoznaczne z karą Bożą. Mamy dbać o godne życie. Autor Księgi Mądrości pisze, że człowiek, który patrząc na dzieło, nie poznał Twórcy, jest głupi. „Ziemia pełna jest

*łaskawości Jahwe*” (Ps.33,5). Wiara w Boga musi prowadzić do poszanowania jego własności – świata, nas samych. Nie wolno stosować technologii krzywdzących człowieka i środowisko. Bez natury człowiek nie może istnieć. Dlatego nie może on być bezwzględny eksplloatatorem, ma być raczej rozumny stróżem ziemi. Jest za nią odpowiedzialny.

To nieco przydługie wstępne przypomnienie problematyki wydało mi się konieczne ze względu na współczesne zagrożenia, znane wszystkim, ale jakże często lekceważone. Czasami myślę, że tylko poeci przejmują się naprawdę losami Wszechświata. (Ekolodzy nie zawsze mają czyste intencje, zbyt są uwikłani w politykę).

Interesujące było przesłedzenie tej tematyki w poezji około pięćdziesięciu członków Nauczycielskiego Klubu Literackiego w ciągu czterdziestu lat istnienia Klubu.

Układ wierszy w antologii ma formę tryptyku, którego bohaterką pierwszej części zatytułowanej „W głębi pejzażu” jest Natura, jako że była stworzona przez Boga najwcześniej. Centralną część zajmuje, oczywiście, Stwórca jako Istota najważniejsza – Absolut, Praprzyczyna i cel ostateczny. Tytuł tej części jest adekwatny, zaczerpnięty z wiersza Edwarda Lipińskiego: „Tyle dróg do Ciebie”. Podkreśla on indywidualność i różnorodność relacji każdego człowieka z Bogiem oraz to, że jest On ostatecznym celem każdego z nas, czy w to wierzymy, czy nie. Całość zamyka część „W pulsowaniu serca”, poświęcona człowiekowi – ostatniej istocie, stworzonej przez Boga i odpowiedzialnej za Jego dzieło. To od człowieka, od jego wolnej – dobrej lub złej – woli, od tego, co znajdzie się w pulsie jego serca, zależy, co się stanie ze światem, jakie będą jego dalsze losy. Trzeba zaznaczyć, że podział ten jest dość umowny, przeprowadzony raczej ze względu na dominującą w danym wierszu tematykę, ale tak naprawdę te trzy elementy są ze sobą nierozzerwalnie związane. Człowiek przewija się w każdej z tych części, wszak to jego zmysłami odbierana jest natura, jego przemyślenia i uczucia skierowane są do Boga.

Wiersze poświęcone przyrodzie są przeważnie wyrazem miłości do niej, zachwytu autorów jej pięknem, radością, jakiej dostarcza ludziom. Znajdujemy w nich poetyckie opisy natury w całej jej różnorodności – wszystkich pór roku, nie tylko ukochanych przez poetów wiosen i jesieni, ale i bieli zimowych pejzaży, i *roztańczone lato*; opi-



sy każdej pory dnia i nocy; szerokich panoramicznych krajobrazów i drobnych szczegółów, detali (np. liść u Bernera, irys u Ulman). Wiele utworów opiewa drzewa, lasy, rzeki, ptaki, a także zjawiska przyrody (wiatr, deszcz, słońce, mgłę). Poeci odwołują się do wszystkich zmysłów w percepcji natury – podziwiamy jej *całe gamy kolorów, feerie, palety barw*; upajamy się *kwiecistym szalem rozlanej woni*, zapachem szyszek, mchu; słyszymy przeróżne odgłosy, *szelesty szuwarów, symfonię ptactwa, szum, szept, gwar, świergot, klangor, ćwierkanie*, ale także ciszę; czujemy smak jagód, miękkość traw, twardość kamieni, *raniące rżysko*, gorąco słońca, chłód sosen, ciepło wiatru, wilgotność mgły. Przyroda jest postrzegana nie tylko bezpośrednio, ale także przez kontemplację obrazu malarza (A. Batura *Kol. Aleksandrowi Frąckiewiczowi skromnemu malarzowi ziemi augustowskiej*) lub we śnie (Irena Grabowiecka *sikorko z mojego snu*, Kantarska-Koper *Sen o księżycu*, Jan Leończuk *w rozpadlinie snu*). Są również wiersze, wyrażające niepokój o naturę, jak choćby „Na śmierć lipy” Haliny Kabac. Moimi ulubionymi wierszami w tej części są: *Kiedy kwitł len* Janiny Osewskiej i *chabry w zbożach* Ireny Słomińskiej.

W drugiej części antologii autorzy najczęściej zwracają się do Boga z wiarą i ufnością w Jego miłosierdzie i przebaczenie grzeszności ludzkiej natury oraz z wdzięcznością za stworzenie i hojność w obdarowaniu ich wszelkimi łaskami, dobrami. Kierują do Stwórcy prośby różnego rodzaju, cały *potok błagań* – proszą o duchowe przewodnictwo w ziemskiej wędrówce, o miłość, siłę, pociechę, ulgę, ratunek, wybaczenie. Czasami wyrażają wątpliwości, zadają pytania: *wspinam się i wspinam /Dokąd Panie* (Grabowiecka), *Czy mnie dostrzegasz w ludzkim potoku?* (Puchalska), *jak mnie pozbierasz na całym świecie?* (Osewska). I największa wątpliwość: *A jeżeli był tylko człowiekiem /Konającym pod pustym niebem?* (Kabac). Są też i rozczarowania, pretensje, chociaż nie tyle do Stwórcy, ile do Jego ostatniego – nieudanego (?) dzieła – człowieka, który źle wykorzystuje Boży dar, jakim jest wolna wola. Auron pisze: *Stworzyłeś Panie /piękno i człowieka / dałeś mu miłość i wolną wolę // a on / stawiał dom z piotunów i kłamstwa / zamieniał miłość / w egoizm / (...)*. Kantarska-Koper również uważa: *niepotrzebnie / dałeś człowiekowi wolną wolę // zbyt wiele możliwości wyboru / zbyt pożądlive oczy / zachłanne uszy / i chciwe serca // aby*

*ustrzec się grzechu / Ewy i Kaina. Zaś u Lachowicz podmiot liryczny kaja się za swoje złe uczynki, pełen poczucia winy i żalu na przemian do Stwórcy i do siebie, odczuwając dar wolnej woli raczej jako ciężar odpowiedzialności: (...) to ja ukradłem rower bratu / Pieniądze spod poduszki babci / Jabłko złote z ogrodu sąsiada // Czemu Tobie nie ukradłem złotych Słów / (...) Boże – to ja zabiłem mego brata / Pogwałciłem cześć mojej siostry / Syna uderzyłem w twarz // Czemu wtedy nie zabrałeś mi ręki / (...) To ja nie wierzyłem w Twoje Miłosierdzie // Czemu uwierzyłem kłamcom / – wolny. Zresztą Boga ten fakt złych wyborów człowieka także smuci (Hukałowicz: *zasmucił się Pan / i zapłakał głośno / „Ludu mój ludu / cóżem ci uczynił”*). Dobrowolski wręcz współczuje Bogu, że musi oglądać *świat przemocy (...), ból (...), piekło (...)*, sam cierpiąc męki na krzyżu.*

Autorzy znajdują Stwórcę w *niebiosach i na ziemi i w świątyniach*, w przydrożnych kapliczkach i krzyżach, w przyrodzie, *w drzeniu liści, w zapachu kwiatów, w locie ptaka, w gwiazdach srebrzystych*, ale także *w dobrym uczynku i słowie* bardziej, niż *w dymie kadzideł* kapłanów. Formy zwracania się do Boga – to wewnętrzny dialog z Nim, rozmyślania, modlitwy dziękczynne i prośbne, refleksje i rozważania. Kończy tę część wiersz Jana Zalewskiego, w którym znalazła się, według mnie, kwintesencja wiary: *trzeciego dnia odkryłeś sens przebaczenia*.

Chyba najtrudniej zdefiniować wiersze poświęcone człowiekowi, są one najbardziej różnorodne i nie bardzo da się je połączyć w jednolite grupy. Najuczciwiej byłoby każdy z nich omówić oddzielnie. Podobnie jak wszelkie uogólnienia dotyczące ludzi są jedynie umowne. Wszak każdy z nas jest absolutnie niepowtarzalną indywidualnością... Niemniej jednak można wyróżnić kilka wspólnych tematów poezji zawartej w tej części antologii. Przede wszystkim u większości twórców są liryki rodowodowe, poświęcone najbliższym – rodzicom, dzieciom, partnerom. Wiersze przywołujące najpiękniejszy i w pewnym sensie najważniejszy okres życia – dzieciństwo i najważniejsze miejsce – rodzinny dom, do którego chciałoby się ciągle wracać, gdzie *pachnie jałowcem z babcinego bigosu, gdzie boleśnie znajomy każdy szczegół*. Nie mogło także zabraknąć w tej poezji spraw najistotniejszych w życiu człowieka – relacji z bliskimi, miłości, przyjaźni, problemu dobra i zła, wrażliwości na krzywdę, poczucia winy z powodu obojętności na niesprawiedliwość.

Poruszane są problemy egzystencjalne, nieodłącznie towarzyszące człowiekowi od zarania dziejów – problem upływu czasu, który *wymyka się z rąk*, starości, śmierci, która *wybawia brzozy na równi z duszą człowieka* i życia, które *przeleciało jak błyskawica*. Jest refleksja, kim jestem, jaki sens ma moja droga życia. Poeci rozważają swoje moce i niemoce, ułomności i grzeszność, swoje nieustanne poszukiwania, czasami zagubienie, tragedie, rozpacz, trwogę. Pisze Szubzda: *więźniowie przyzwyczajeni / niewolnicy własnych błędów / wciąż gonimy za czymś / wciąż szukamy*. Autorzy nawołują do większej wrażliwości, do ucieczki od blichtru, próżności, hałasu i zachęcają do kontemplacji *w ciszy serca*. Obok wzniosłej tematyki pojawiają się wiersze poświęcone codziennej krzątaninie, zdarzają się też tematy dotyczące historii, polskości oraz wiersze poświęcone konkretnym osobom (Bajena „Popiełuszko”). Tę część antologii wspaniale zamyka wiersz Jana Zalewskiego „Jeszcze tylko”, w którym poeta marzy o pobycie w zmyślonym niebie, *gdy na ziemi będzie źle i ponuro, kiedy ludzie zaczną sobie skakać do oczu, w niebie, gdzie nie osiągną go złe spojrzenia, nie zaszkodzą zazdrości i żale, gdzie nigdy nic go nie zasmuci*. Lecz mimo to z tego nieba *znów zechce na ziemię powrócić*. Rozumiem to doskonale, powtórzę jeszcze raz za psalmistą: *Ziemia pełna jest łaskawości Jahwe*. Tu najpełniej człowiek czuje swoją więź z przyrodą i Bogiem.

Osadzenie człowieka w Kosmosie, jedność z nim i ze Stwórcą pokazuje jedna z najpiękniejszych poetyckich definicji człowieka autorstwa Mieczysława Czajkowskiego: *Ja – iskra co z kosmosu / Spadła tęskniąca / Do niewygasających / Gwiazd*.

Książka jest pięknie wydana, w eleganckiej twardej okładce, na której zamieszczono reprodukcję obrazu Krystyny Humiennej o wymownym tytule „Lot”. Poszczególne części antologii natomiast ilustruje grafika Anny Ralickiej-Perkowskiej.

VI 2009

---

Na skrzydłach słów. Antologia NKL w Białymstoku. Nauczycielski Klub Literacki, Białystok 2009. Wybór wierszy i redakcja: Irena Grabowiecka. Redakcja techniczna: Regina Kantarska-Koper, Joanna Pisarska.

---

## Za duża o jeden numer wrażliwość

Otrzymałam do przeczytania książkę „W poszukiwaniu...” pod redakcją Ireny Grabowieckiej, Małgorzaty Sałęgi i Doroty Mokrzewskiej, wydaną przez Miejski Ośrodek Kultury w Wysokiem Mazowieckiem w 2009 roku. Ze wstydem przyznaję, że nie spodziewałam się niczego nadzwyczajnego po lekturze tej publikacji; wiedziałam o niej tyle, że jest pokłosiem warsztatów poetyckich, w których uczestniczyli lokalni twórcy. Już pierwszy rzut oka na szatę graficzną książki bardzo pozytywnie mnie zaskoczył. Okładkę zdobi akwarela Stanisława Borzuchowskiego „Sosna nad urwiskiem”. Tomik jest bogato ilustrowany fotografiami prac plastycznych: malarskich (olej, akwarela), obrazów reliefowych wykonanych w skórze, drewnianych rzeźb, haftów krzyżykowych, płaskich, richelieu, obrusów, bieżników i serwetek z koronki szydełkowej i siatkowej, kwiatów z bibuły, szkieł użytkowych i ozdobnych, malowanych farbą witrażową, puzderek, pisanek, barwionych techniką batikową i farbą akrylową. Prace prezentowane w zbiorze przedstawiają nadspodziewanie wysoki poziom. Nic dziwnego zresztą, ponieważ niektórzy z autorów mają bogaty dorobek artystyczny, brali udział w wielu plenerach, konkursach, wystawach na terenie całej Polski, o czym czytelnik może dowiedzieć się z notek o autorach oraz słowa wstępnego M. Sałęgi – dyrektora MOK w Wysokiem Mazowieckiem.

Lektura pomieszczonych w zbiorze wierszy również przyjemnie mnie zaskoczyła już od pierwszej autorki – Teresy Bazyluk, z prostotą, szczerością i wdziękiem piszącej o trudnych, ale jakże upragnionych relacjach z drugim człowiekiem. Natomiast następny w kolejności poeta – Bogusław Doroszkiewicz – poraził mnie swoją głębią, dojrzałością, erudycją, filozoficzną refleksją, oryginalną poetyką (nie dziwota, autor jest polonistą po UW). Jego wiersze niewątpliwie są z górnej półki. Oryginalne są także wiersze najmłodszej poetki Emilii Godlewskiej, pełne buntu, przekory, ironii i zaskakujących metafor: „*huśtawka – narzędzie wewnętrzne / kołyszysz nastrojem / z prawego do lewego buta / aż ustaje / (po krzyku w zielonych ścianach)*”; „*uspokój gęsi na mojej skórze*”; „*chmury się przytulają / aż parasolce / wypadł drut wrażenia*”. Bardzo poruszyły mnie także wiersze Beaty Szabrackiej.

Oto portret jej bohatera lirycznego: „*Za duża o jeden numer / Wrażliwość / Przyciasna miłość / Za szeroka naiwność / Zbyt popuszczana na szwach / Szczerokość...*”

Twórcy, prezentujący swoje utwory w niniejszym zbiorze, są grupą bardzo zróżnicowaną pod względem poziomu i kierunku wykształcenia, zawodu, wieku, doświadczenia. Łączy ich jednak właśnie ta *za duża o jeden numer wrażliwość*. Wrażliwość na piękno, dobro, prawdę, na drugiego człowieka, a także na krzywdę, cierpienie, zło tego świata. To owa wrażliwość każe im poszukiwać odpowiedzi na nurtujące każdego homo sapiens pytania o sens życia, miejsce i rolę człowieka w świecie; w artystyczny sposób, po swojemu, wyrażać zachwyt nad dziełem Boga, swoje uczucia, wątpliwości i przemyślenia. Utwory przedstawiają szeroki diapazon tematyczny – od zachwytu pięknem przyrody poprzez najróżnorodniejsze ziemskie sprawy człowieka do wierszy religijnych, dotykających spraw wykraczających poza doczesność.

„*Świat jest piękny: / na biegunie, równiku, / Saharze, w Nowym Yorku, / Berlinie, Ankarze, na / łące w Tyborach Wólce, / o świcie, nocą, o zmroku, / o każdej porze roku*” – mówi wprost Irena Sienkowska. Poetka zachwyca się adwentowym pejzażem, kiedy to „*Różowe obłoki / połyskują jeszcze / złotym blaskiem*”; „*Zmierzch wcześniej / ogarnia upiększone / śniegiem zagrody*”; sylwestrowym dniem, nadejściem wiosny, gdy „*nie ma nic wspanialszego / od kwitnących jabłoni*.” Danuta Zofia Krasucka na sposób renesansowy nie tylko zachwyca się urodą natury, ale i podkreśla jej użyteczność, *pożytek ziemi rodzącej swe dary* („*Madonna błogosławiąca przyrodę*”). Ulubioną porą roku poetów z jakiegoś powodu jest jesień, *piękna pani rudowłosa*, która „*Zarumieni jabłka w sadzie. Wetknie grzyby pod paprocie*.” (Anna Werpachowska „*Jesień*”). Pora roku, kiedy „*Liście chcą wciąż wirować. / Z kiści jarzębin korale*.” (Ewa Sokołowska „*Jesień*”). Grażyna Wnorowska także zachwyca się jesienią, a oprócz tego urodą całego polskiego krajobrazu „*od gór aż do morza*”, a szczególnie rodzinnego miasta.

W centrum zainteresowania znajduje się jednak człowiek i to, co jest z nim związane: miłość, relacje międzyludzkie, lęki, obawy, wątpliwości, istota życia, samotność, starość, cierpienie, patriotyzm, odpowiedzialność człowieka za świat. W posłowniu Irena Grabowiecka –

prezes Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku – wnikliwie omówiła wiersze wszystkich poetów, prezentujących swoje utwory w tomiku, zwracając szczególną uwagę właśnie na obraz człowieka, jaki wyłania się z tych wierszy. Mojej wrażliwości bliskie są poetyckie spostrzeżenia i refleksje wspomnianej już wyżej Beaty Szabrackiej. Człowiek postrzegany przez autorkę posiada dwoistą naturę. Kojarzą mi się powiedzenia: *homo homini lupus est* czy Nałkowskiej: *człowiek człowiekowi zgotował ten los*. Bo z jednej strony z poezji autorki wyłania się człowiek wrażliwy, kruchy, pragnący czułości, miłości, poszukujący prawdy i swojego człowieczeństwa, zagubiony w życiu, pełnym obłudy i kłamstwa, jak podmiot liryczny cytowanego niżej wiersza: „*Jak płatek śniegu / Jestem przez chwilę / Tańczę na wietrze / I / Spadam / By zginąć / Pod zabłoconymi / Butami życia*”. A z drugiej strony – „*Homo sapiens – człowiek rozumny / jako jedyny spośród ssaków potrafi / z uśmiechem na twarzy wbić nóż w plecy / by już po chwili ze zbolatą miną / płakać nad twym grobem / żaden lis nie dorówna mu / chytrą i sprytem / żaden wilk nie rozszarpie swej ofiary / bez rozlewu krwi / to domena tego gatunku / człowiek – bestia o stu twarzach żyje na wolności / bez obroży, kagańca / bez tabliczki: UWA-GA ŻYJ CZŁOWIEK*”. W takiej sytuacji ta wrażliwsza część ludzkości chowa się pod maską klauna, zastanawia się, jak żyć, skąd czerpać siłę, pragnie relacji z drugim człowiekiem, ale i boi się ich, ufając już tylko Bogu: „*Weż mnie za rękę / abym już nie błądziła*”.

Do Boga uciekają się też inni poeci: „*Kiedy już nie mam sił by iść dalej / i nie wierzę w sens cierpienia*” (Teresa Bazyluk); „*gdy życie przygniata, / gdy brzemię cięższe jest od tego, / które unieść zdołam*” (Danuta Zofia Krasucka). Ale nie tylko w sytuacji *jak trwoga, to do Boga* poeci zwracają się do Stwórcy, lecz również, żeby Go uwielbić i podziękować Mu za dar życia, świat i wszelkie łaski: „*Za świt i zmierzch / Księżyc i słońce / Pogodny dzień i deszcz / Uśmiech i tży / szum wiatru śpiew słowika / Za mądre rady przyjaciół / Za krople rosy i kwiaty na łące / Za bociany i rechocące żaby / Za wiarę nadzieję i miłość // Dziękuję Ci Panie*” (Krystyna Nadolna).

Szukając środków wyrazu niektórzy twórcy sięgają do tradycyjnych form (rym, rytm, odwoływanie się do tradycji kulturowych, literackich, religijnych), inni wolą wypowiadać się bardziej nowocześ-

nie, czynić aluzje do aktualnych realiów. Niezależnie od indywidualnej poetyki wszystkich twórców w niniejszym tomiku łączy dążenie do dobra, prawdy, szukanie sensu życiowej drogi, odpowiedzialność za słowo. Niedawno na spotkaniu autorskim w Książnicy Podlaskiej w ramach tzw. Śród Literackich jedna z poetek (Hanna Cygańczuk) roztoczyła wizję świata bez poetów i poezji. Zaiste, byłby to świat niewyobrażalnie straszny i ubogi. Dobrze, że istnieją pasjonaci poezji i malarstwa oraz ich sympatycy. Dzięki nim czytelnicy mogą cieszyć się przyjemnością, płynącą z lektury podobnych tomików.

---

*W poszukiwaniu...* Redakcja: Irena Grabowiecka, Małgorzata Sałęga, Dorota Mokrzeswska. Miejski Ośrodek Kultury, Wysokie Mazowieckie 2009.

---

## Ku boskiemu światłu

Prawie równocześnie ukazały się w październiku 2009 roku tomiki wierszy dwu autorek, związanych z Nauczycielskim Klubem Literackim w Białymstoku. To indywidualny debiut książkowy znanej malarki Zofii Marii Dembińskiej pod tytułem „Malowane światłem” oraz czwarty już tomik Janiny Puchalskiej-Ryniejskiej „Wiatr od lasu”. (Wcześniej obie były współautorkami drugiego Kajetu Starobojarskiego „Krople poezji”).

Przeczytałam oba tomiki jednym tchem i chcę podzielić się wrażeniami z ich lektury, ponieważ mimo różnych osobowości autorek i całkowicie odrębnej poetyki łączy je to, co najistotniejsze – postawa wobec świata, Boga oraz podstawowego celu człowieka, jakim jest według obu poetek dążenie ku dobru, miłości, ku boskiemu światłu.

U Zosi właściwie każdy wiersz promienieje światłem, o czym świadczy nawet tytuł zbioru; także w tytułach niektórych wierszy wprost użyte są określenia, takie jak: „Rozjaśnienie”, „Promyczek”. W utworze „Łaska” poetka wyraźnie określa swoje wartości i życiowe zadanie: (...) *gdzieś we mnie wylądował / promień / (...) do dziś czuję w sobie / to przykazanie / miłości // ładu świata*. A w innym wier-

szu pisze: *Dobro jak płomyk / na końcu szpady / wyzwanie dla ciemności // zdecydowane cięcie / i jasność*. Naliczyłam w utworach tego zbioru ponad pięćdziesiąt określeń związanych z motywem światła (w różnych znaczeniach), np.: *promyk, promień, promieniujący, płomyk, płomień, świetlisty, światelko, świecić, świeca, świecznik, lampa, dzień, poranek, świt, brzask, zorza, łuna, błysk, błyskawica, tęcza, księżyc, gwiazda, słońce, jasny, jasność, płonący, zapalony*.

Janina Puchalska-Ryniejska podobnie deklaruje swój cel – rozbudzić w sobie *zachwyty i nadzieję, zaczerpnąć ciepłego oddechu słowca, (...) by / poezją rozniecać / jasność i serdeczność*.

Tomik Z. M. Dembińskiej prezentuje wysoki i wyrównany poziom. Wynika to z jej dużych wymagań wobec siebie, bo chociaż uprawia poezję od dawna i uzbierała wiele wierszy, nie śpieszyła się z ich publikacją, ponieważ zależało jej na jakości, a nie ilości wydanych tomików. Układ wierszy prowadzi nas od credo poetyckiego autorki („Anioł od wierszy”, „Muza”) poprzez liryczne obrazy przyrody do człowieka i jego problemów – uczuć, relacji z innymi, aby na końcu wznieść się ku sprawom najważniejszym, boskim. Tomik wieńczą utwory na temat sztuki: „Malarstwo”, „Wiersz” – niczym koda, która jest podsumowaniem wszystkiego, o czym poetka w nim pisze. *Zropaczeni wbiegamy w obraz / jak w dobry sen / z różnych przybyliśmy stron tragedii // wśród nas są ludzie / zwierzęta / rośliny / i rzeczy // wbiegamy / do krainy pilnowanej przez anioły* („Malarstwo”). Jest to dokładnie poetycka ilustracja tego, co napisałam wyżej (credo – przyroda – człowiek – Bóg).

Zofia Dembińska, jak wielu artystów, odczuwa wewnętrzną potrzebę tworzenia. Jest to niejako przymus, a nie dobrowolny wybór. „Anioł od wierszy”, który (...) *otwiera śpiew słowika / lub moknie / w dziecięcej tzie // potrafi odstąpić / niezamieszkałą kartkę / w moim sercu / bezdomnym słowom* – wyznaje poetka. A swoją muzę, *najważniejszą znów*, musi odnaleźć jej *duch (...) opuszczony / wystawiony na mrok*.

Bardzo ważna dla Zofii Dembińskiej jest przedstawiona w niebanalny sposób natura, nierozzerwalnie związana z człowiekiem, wzajemnie oddziałująca, a nawet współpracująca z nim. Charakterystyczne jest dla poetki „wtopienie w przyrodę, odczuwanie jej istnienia jako



jedności z człowiekiem, zbliżenie do Boga (...)” – pisze Irena Grabowiecka (wstęp do Kajetu „Krople poezji”). Przytoczę kilka cytatów: *Oddaję się widokowi / jak owoc ustom / muzyka uszom* („Za oknem”); *jestem w czułości / nad wodą / a ty w wiośnie* („Wiosna”); *Snułam się pasmami / wyschniętych pól / zbolałym ugorem / całowałam / szare ramiona nieba* („Lato”); *Ciepłe lato / w tym pejzażu / wygładzam kamienie / na ścieżkach // ubieram się w suknię / z trawy fal i promieni // wiatr z żebra swego / daje mi skrzydła / mogę całe piękno / objąć lotem.*

Zbiorek zadedykowany jest najbliższej rodzinie i wiele wierszy autorka poświęca ukochanym dzieciom, wnukowi, mężowi. Są wśród nich utwory pokazujące relacje z mężem, subtelne erotyki, pełne miłości i czułości: (...) *czułość wzeszła / złotą kulą / ze wzgórz twego ciała / aby mnie przemienić / w rozkosz / plażę / morze* (Milczenie nadleciało); (...) *twoja obecność / cały świat polepsza* („Ballada o przytuleniu”); (...) *jest jeszcze twoje dobre słowo / które zmienia kierunek myśli* („Nocą”); *Dotykam czynisz / że pachnę urodą* (...); (...) *pod lekkim dotykiem / czuję się piękna* (Cichą obecnością); *żaden wers / nie jest tak czuły jak dłoń* („Bukiet”); (...) *a ty trzymasz moją dłoń / w swojej / wbrew kalendarzom* („Lato”).

Zosia w piękny poetycki sposób odnotowuje najważniejsze wydarzenia w życiu swojej rodziny – śluby dzieci („Nowina”), kiedy to *matka wzleciała / na szczyt dobrych nowin / w oczach oczekiwanie* (...) *nadzieje ukryte / w ziarnach dni*; wesele, na którym *taniec rozkwita szalony / pocałunki się kręcą na rzęsach // smaki się kotłyszają / od talerza do talerza*; odejście dorosłych dzieci z rodzinnego domu i tęsknota za nimi, syndrom pustego gniazda, w którym *meble jak pies się łaszą / przez okna mruczy błękit / ściany bielą pytają / czemu wracamy sami* („Z dworca”); wreszcie śmierć matki, którą teraz bardziej rozumie: *w moim macierzyństwie / tak podobne do twoich / intencje modlitw / dziś rozumiem / ile w milczeniu było pacierza* („Mamie”).

Szczególnie urokliwe są wiersze o wnuczku: „Promyczek”, „Skarbnio”, „Spacer z wnuczkiem”, „Tęsknota”. Swoją miłość, czułość do niego poetka podkreśla pieszczotliwymi określeniami, zdrobnieniami: *promyczek, maluszek, maleństwo, wnuczátko; maciupkie stopki / o ty ci paluszkach, różowe piąsteczki / małe szkatułeczki*. Natomiast

pisząc o otaczającym świecie, wyolbrzymionym, bo widzianym ciękawymi oczami maleńkiej istoty, stosuje hiperbole: *wieżowce traw; pomniki kwiatów; od pół godziny / zdobywamy to wierzchołek / to podnóże / góry schodów*. I nawet gdy wnuczek jest nieobecny, autorka wyraża swoją za nim tęsknotę, wyobrażając go sobie na kolanach, oglądającego świat za oknem dziecięcymi oczami.

Zosię Dembińską znam i darzę przyjaźnią od początku lat osiemdziesiątych, niedawno napisałam o niej, że jak nikt inny potrafi się niczym dziecko nieustannie i radośnie dziwić światu. *Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego* (Mk 10,15; Łk 18,17), powiedział Jezus. Sądzę, że Zosia nie będzie miała z tym najmniejszych problemów. Jej poezja przesycona jest religijnością w najlepszym znaczeniu tego słowa. W życiu i twórczości autentycznie kieruje się ona przykazaniem miłości, dobra, światła. Wierzy w sens i siłę modlitwy: *mozaika różańca / przykrywa / zbitą masę strapienia (Za ostatnim progiem nadziei); nie wątpi w sens cierpienia, które budzi wiarę („Cierpienie”) ani w pomoc świętych w dostrzeżeniu i zrozumieniu Prawdy: patrzę przez Nich / na Boga / jak przez obłoki / na słońce / otwartymi oczami („Święci”)*.

Należałoby wspomnieć o środkach stylistycznych, stosowanych przez Zofię Marię Dembińską, ponieważ są one niezwykle oryginalne i niepowtarzalne. Przytaczałam już hiperbole, zdrobnienia. W cytowanych powyżej utworach mogliśmy zauważyć personifikację: *mgła kołysze domy jak matka dziecko; dzień / poprawia szal lasu / świetliście patrzy na domy; z drzew wytrzepuje ptaki na chmury; temperatura szydzi / i kiwa zerem na słupku, wiosna ostrzega; dom pilnuje / urody kwiatów; animizację: Macierzyństwo przyfrunęło / do gniazd; meble jak pies się łaszą; mruczy błękit; ale także reifikację: *całe ciało jest wybrzeżem* („Ballada o przytuleniu”), *jestem jeziorem / u brzegu twych ramion* („Wiosna”); bogactwo epitetów, metafor, porównań. Autorka używa poetyzmów (*brzask, bezkres zórz, runąć, obłok szczęścia, karoca, orszak, diadem, grań*).*

Tomik Janiny Puchalskiej-Ryniejskiej przyciąga oko wyciszoną i tajemniczą oprawą plastyczną Adama Ślefarskiego – zamglony melancholijny krajobraz, mroczna ściana lasu na okładce, a w środku

urokliwe zdjęcia kwiatów, pól, jesiennych i zimowych drzew, kapliczki, studni z żurawiem. Ilustracje są adekwatne do treści zawartych w utworach. Poetka podzieliła tomik na dwie części – pierwsza „Rytm zielonej ciszy” przedstawia piękno przyrody w jej różnorodności – poetkę zachwycają wszystkie pory roku i doby, zjawiska atmosferyczne, jak deszcz czy burza, nie tylko słoneczna pogoda, wszystkie krajobrazy, choć najbliższe jej sercu jest, oczywiście, Podlasie. Podziwiam poetów – piewców natury, ponieważ bardzo trudno jest znaleźć oryginalne środki wyrazu, nie stosowane wcześniej. Janinie to się udało. Czytelnik zachwyca się *księżycem / grającym w chowanego / między czubami sosen / i świerków; wiosną już na dobre grającą w „zielone”; rozkapryszonymi chmurami*; urzekają go obrazowe metafory, jak np.: *na ugorze wirują pędzle / krowich ogonów / w odsieczy owadom; klucze żurawi / zamknęły już / podniebne koncerty ptasie*. Poetka stosuje animizację: *poduszka przymiła się / jak kociątko* i personifikację: *chmury pierzaste / czeszą błękit; nagła błyskawica / porywa wiatr do tańca; smagnięcie błyskiem / Jakby ognistym pejcem po chmurze; Na drodze tańczy obłok kurzawy*.

„Przyrodzie, przedstawionej w tych wierszach, towarzyszą świętki przydrożne, krzyże, wspomnienie Jana Pawła II. Wydaje się przeniknięta duchem Bożym. Poprzez nią wyraża się głęboka religijność podmiotu lirycznego” – pisze w przedmowie do książki Irena Słomińska. Oto kilka cytatów: *świętek przydrożny / błogosławi / rodzący się dzień; wonny maj (...) modli się / do Matki Bożej Majowej; przydrożny krzyż / uświęca piękno / sielskiego krajobrazu; tu / rozwarł ramiona / krzyż / poświęcony pamięci / wizyty Ojca Świętego / w Gołdapi; szczęść Boże wsi polskiej*.

W części drugiej tomiku, zatytułowanej „Powroty”, w szerszym zakresie pojawia się człowiek, sprawy i uczucia, które budzą relacje z innymi – ważnymi – osobami, a także bardziej ogólne refleksje, dotyczące człowieczego losu. Podmiot liryczny z zalem wspomina młodość, która przeminęła, a z nią *taneczne wirowania / pod batutą księżycza; wakacyjne spotkania; potańcówki / przy dźwiękach harmonii / zbiórki przy kapliczce / w asyście majowych gwiazd; pieśń / o niespełnionej miłości // pierwszy dotyk rąk / pierwszy pocałunek*. Przywołuje pamięć ukochanego męża i miłość, która wciąż żyje, mimo że obecnie

może przejawiać się tylko *w płomyku świecy / pulsującym tęsknotą*. Nie mogło zabraknąć wierszy poświęconych pamięci rodziców, bo jakże można nie pamiętać *o smakowitościach / matczynej rąk / ojcowskim sercu na dłoni / z białym opłatkiem*. To matka *osłaniała od zła, karmiła mądrością, choć nocą / niełatwo jej było uspić ból / spracowanych rąk*. To marzenia *dzieciństwa kolebane były rodziców troską*.

Poetka zadaje też pytania retoryczne, dlaczego istnieje zło na świecie, znieczulica, egoizm, niespełnienie, smutki, nieporozumienia i swary. Jednak mimo bólu przemijania, samotności, trwogi, goryczy, smutku, bezradności, beznadziei, cierpień spowodowanych niedoskonałością człowieka Janina Puchalska – Ryniejska każe podmiotowi lirycznemu wierzyć w boską ochronę (wiersz „Pod skrzydłem anioła”) i *na tęczy kwiatów przesyła Stwórcy / uwielbienie (wiersz rankiem / witam Boży dzień)*.

Trzeba też wspomnieć o plastyczności i muzyczności wierszy pomieszczonych w tomiku. Poetka jest z wykształcenia muzykiem i to się odzwierciedla w jej twórczości. Oprócz specjalistycznego słownictwa w formułowaniu metafor: *ptasie koncerty, klawiatura skał, wietrzna dyrygentura, dzięciołowy rytm, śpiew aniołów, wiatr jak organista / gra w koronach drzew / solo i chóralnie / wtórują śpiewem ptaki* – poetka stosuje w wielu wierszach rytm, np.: „Przed burzą”, „Nadszedł szum burzowy wreszcie...”, „Barwy jesieni”, często jest to rytm walca, np.: „Nad Supraślą”, „Piosenka”. Wystarczy skomponować melodię i powstanie piosenka.

Adresatem tomiku „Wiatr od lasu” może być każdy człowiek, ponieważ problemy, uczucia i refleksje, zawarte w nim nieobce są wszystkim ludziom, chociaż nie każdy chętnie się do tego przyzna.

Cieszę się, że dorobek naszego NKL wzbogacił się o dwie tak wartościowe pozycje.

---

Zofia Maria Dembińska. Malowane światłem. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego. Białystok 2009

Janina Puchalska-Ryniejska. Wiatr od lasu. Białystok 2009

---

## Ku błękitnemu niebu

Oddaliśmy czytelnikom czwarty już numer „Kajetów Starobojarskich”, którego autorami jest kolejna trójka znakomitych autorów: Józefa Drozdowska, Eugeniusz Szulborski i Regina Świtoń. „Trzy różne wrażliwości, trzy różne poezjowania” – jak pisze we wstępie Wiesław Szymański. I dobrze, że różne, bo przez to bogatsze i bardziej adekwatnie oddające skomplikowaną naturę człowieka.

Redagując tomik, wybierając utwory i poszukując tytułu, zastanawialiśmy się z współredaktorką – Joanną Pisarską, co łączy te tak odmienne wiersze, co można uznać za dominantę tematyczną i doszliśmy do wniosku, że właśnie człowiek jest w centrum uwagi wszystkich trojga autorów, chociaż u każdego z nich w zupełnie innym aspekcie.

Podmiot liryczny **Józefy Drozdowskiej** – to istota metafizyczna; przekracza granice fizyczności, porusza się po ogromnych kosmicznych przestrzeniach, utkanych z *tęsknot planetarnych*, między rojem spadających meteorytów. Jest kobietą, oscylującą pomiędzy niebem a ziemią, splatającą *ręce z niebem / godząc to co ludzkie / z tym co boskie*; czującą wieczność, nieśmiertelność, istotą urodzoną *miliardy lat temu*, pamiętającą akt swojego stworzenia. Ma świadomość niezdolności zrozumienia tutaj na ziemi czegokolwiek ponad to, co widzimy, ale mimo to dąży do pojęcia głębi i dali dalszej *niż ta, która się przyśni*. Bohaterka oscyluje, czyli skłania się raz w jedną, raz w drugą stronę, waha się. Boi się grzechu, ale nie umie bez niego żyć. Jej los na ziemi jest przesądzony: *stanie się wszystko / co ma się stać / i ból / i kamień / który przyjdzie ci podnieść / by rozeznać się w ciężarze życia*. Niczym dziewczyna z obrazów Cybisa przeżyje ból wypierzenia się z *dzieciństwa*, stanie się staruszką z *zamglonym okiem / nad pustym talerzem / o zmroku*, a jej *nędza jest tym większa / w im większą ubiera się sławę*. Jednak jak *rosówki wymykają się ziemi / chcąc doświadczyć Światła*, tak i ona idzie przez życie *prześwietlona / od wewnątrz / nadzieją, przędzie swą / codzienność tak, jakby każdego / dnia od rana po wieczór trwało / święto*. Pragnie, żeby *świt i zmierzch były podporą w wędrówce / ku niebu*.

Bo takie stawia sobie zadanie – *piąć się (...) ku błękitnemu niebu*. A nawet nakaz, przykazanie: *Nie będziesz miał innej rozkoszy / niż niebieska*. W dążeniu ku niebu podmiot liryczny znajduje ratunek: od jaskrawości nieba *pojaśniały strwożone myśli*, a modlitwa *zdaje się (...) oczyszczać usta / z każdego marnotrawionego / niegdyś słowa*, zaś Słowa z Biblii towarzyszyć będą w ostatniej drodze, *dotyk zamieniając w nieskończoność*. Póki co jednak *Pozwólmy naszym słowom / nasycić się szumem starych więzów (...)* A oczom dajmy *nacieszyć się / do syta jeziorem w którym / zechciał się przejrzeć sam Bóg*.

Wiersze Józefy są bardzo sensualne – malarskie, przestrzenne, pełne światła (*Roje meteorytów znów roziskrzą niebo; Dzisiejsze niebo ma tyle w sobie jaskrawości; oczy z błękitu; włosy z pajęczyny; Od zagonu za drogą / idzie pochylona matka / W rozłożonym szeroko fartuchu / niesie podebrane ogórki*); smaków i zapachów (*W nozdrzach świdruje mi / zapach kwiatów tytoniu; kwiaty zaczynają bardziej pachnąć; pachnąca jeszcze / mlekiem w zakamarkach ciała; kuchnia / pachnie schyłkiem lata; Nasze ręce nasze włosy i ubrania / pachną rozmarynem dziurawcem; zapach dłoni*); dźwięków (*krzyk na ustach; krew wciąż śpiewa / Bez przerwy śpiewa; nasycić się szumem starych więzów*); dotyku (*cały jest gorący od niej stół; Depczemy ptaki; i kamień / który przyjdzie ci podnieść / by rozeznac się w ciężarze życia*).

**Eugeniusza Szulborskiego** znamy przede wszystkim jako poetę – myśliciela, historyka, patriotę, który pisze bardziej głową niż sercem, przekazuje swoje nie tyle przeżycia, co przemyślenia na temat historii, polskości, roli Boga i człowieka w dziejach ludzkości, starając się, aby były one (przemyślenia) uniwersalne, nie tylko osobiste. Jest w nich sporo gorczy z powodu ludzkiej niedoskonałości, przez co historia zatacza koło, powtarzając te same błędy.

W wyborze wierszy do „Kajetów” nie dało się całkowicie uniknąć owych tematów. Zbyt mocno obchodzi poetę to, że *świat dranie knocą!*, że *ciągle powtarzamy / tę samą lekcję historii*; zbyt mocno zaangażowany jest w *polskie problemy*. Zdecydowałyśmy się jednak pokazać nieco innego Szulborskiego – bardziej lirycznego, bardziej osobistego. Wybrałyśmy teksty, w których w centrum uwagi jest jednostka, usiłująca znaleźć się w świecie takim, jakim postrzega go poeta. Podmiot

liryczny wyznaje wartości sokratyczne – poznawanie i rozumienie samego siebie, choć jest w tym dość sceptyczny: *próby wyjaśnienia siebie / są jak dotąd bezowocne / i pewnie takie pozostaną*. Człowiek przychodzi na świat nagi i nagi odchodzi i *tak samo zapisany milczeniem*. Pozostaje tajemnicą, co w człowieku się *kołacze*. Nawet sam podmiot nie zawsze wie, *Skąd wyrastają ramiona myśli, / czasami tak splecionych ze sobą, / że nie widać rąbka duszy?* Mimo to bohater próbuje zrozumieć siebie, swoje miejsce i zadanie w tym świecie, do którego jest *trochę niedopasowany*. Jest to przede wszystkim homo socialis, żyjący pośród innych ludzi. Musi podejmować decyzje w tej rzeczywistości, gdzie *rojący o władzy szcują*, gdzie panuje ciemność, bo *brak wizji*, gdzie często trzeba *zmagać się z cieniem*. Uważa, że warto pamiętać o przeszłości i wyciągać z niej wnioski. I chociaż wie, że w życiu za wszystko trzeba płacić, bo *nic za darmo*, towarzyszy mu nadzieja, bo *nic na darmo*. Najważniejsze – to być sobą, cokolwiek to znaczy. Bohater podróżuje w przestrzeni i w czasie historycznym, a także w głąb siebie. W utworach często powtarza się motyw drogi. Potrafi pochylić się nad pięknem swojskiego krajobrazu, także uchwyconego pędzlem artysty: *Akwarelę słowa rzucam na papier / niech kwitnie rodzinnymi stronami Wiktorii // chabry i powoje spleatają się z konwaliami / dziewanny w krajobrazie / kwitnące osty samotne drzewo // brzeziniak chwyta cień zachodu / w zieleniejącym niebie wody // na horyzoncie – miasteczko dziwnie swojskie // ręka mistrza uchwyciła mijający czas*. Nieobca jest mu również refleksja nad problemem śmierci. W swojej drodze przez życie ociera się o śmierć *na każdym zakręcie*, czasami idzie z nią *pod rękę*, a *Bóg podtrzymuje go*, aby *mógł wytrwać*. Ale przede wszystkim to homo ethicus, mający ocalić swoje człowieczeństwo.

Twórczość **Reginy Świtoń** można umieścić w nurcie estetyki tradycyjnej, gdzie główną funkcją poezji jest wywołanie u odbiorcy przeżycia piękna. Takie było moje pierwsze wrażenie po lekturze wierszy – czyste odczucie Piękna przez duże P. Piękna słowa poetyckiego, piękna opisywanego świata i wreszcie wewnętrznego piękna samej autorki, która w taki sposób ten świat postrzega, co w dobie powszechnej komercjalizacji i technicyzacji życia jest sprawą raczej rzadką i nie-

zwykle ceną. Poezja ta należy do sfery sacrum. W pochwalnych wierszach Świtoń wyraża swoją miłość do Boga oraz podziw i zachwyt nad pięknem świata przyrody jako dzieła Stwórcy – największego wyrazu boskiej miłości i doskonałości. Jest to ten sam franciszkański model miłości do świata, jaki prezentował ksiądz Jan Twardowski. Podmiot liryczny to przede wszystkim homo religiosus i homo creator, który chce złożyć hołd Stwórcy za Jego dzieło. Aby uczynić to jak najlepiej, poetka w programowym wierszu zaczyna apostrofą do swojej muzy: *pędź mój pegazie / w niepojętość Mistrza / ponad horyzont / ziemskich spraw // chcę / szarość mojej duszy / napełnić światłem / poczuć muzykę ciszy // pozwól / zwierciadłem zachwytu / ogarnąć bóstwo dźwięk / wyśpiewać poemat ziemi // wznies mnie ku Stwórcy / ołtarzem serca // chcę / poezją życia / rzeźbić ornamenty uwielbienia*. Zaś w wierszu kończącym zbiorek poetka deklaruje: *Chcę Ci wyśpiewać Boże / dziękczynną pieśń mojej duszy (...) dziękuję / że wzrok mój kierujesz ku Twojej mądrości / i karmisz pięknem / jak kromką codziennego chleba*. Bo też jest się czym zachwycać i za co dziękować Stwórcy! Poetka, ze swojej strony dostarczając czytelnikowi uczty duchowej, karmi go urodą pór dnia i roku, zaczynając od barwnego, bardzo plastycznego opisu wschodu, a kończąc refleksyjną percepcją zachodu słońca: *oczy zachodu gasną w oddali (...), napełniam serce / wieczornym majestatem nieba*.

Autorka stosuje bogate metafory i epitety: *zwierciadło zachwytu, ołtarz serca, wielka lampa słońca, złota nić słońca, chusty pajęczyn, barwna szarfa światła, welony mgieł, kryształowy seledyn wschodu, ciemne żagle chmur / wyrwane z portu nieba, ramiona ciszy; personifikację: sosny (...) wynurzają głowy, brzozy (...) kąpią warkocze, maj (...) liczy gwiazdy, wiatr / pieści mokre oczy lata, wiatr gra na organach sosen; onomatopieję, oddającą żurawi klangor – *krruu-ih! Krruu-krruu!*; neologizmy – *chwaściane serca; inwersję – brzozy / żółtym listowiem przetkane; maj na zielonej grobli przystanął / liczy gwiazdy / w zwierciadłach stawów zatopione; sentymentalna kolia / promieniem nieba złocona; dumka jesieni / kruczym echem rozwleczonea; brylantowe promyki mrozu / w obrusy ziemi wciśnięte; pytania retoryczne – a wy dokąd? (do żurawi)*.*



W swoim ukochaniu przyrody Renia jest bardzo wiarygodna, co potwierdza wygląd jej urokliwego ogrodu, w którym gościła nas na warsztatach w lipcu ubiegłego roku.

---

Józefa Drozdowska, Eugeniusz Szulborski, Regina Świtoń. „Wyjaśniając siebie” z serii „Kajety Starobojarskie” nr 4. Redakcja Regina Kantarska-Koper i Joanna Pisarska. Wstęp – Wiesław Szymański. NKL, ZOP ZNP, Białystok 2010.

---

## Między ziemią, niebem a człowiekiem

Debiutancki tomik „Między ziemią niebem a mną” Marka Dobrowskiego pod redakcją Ireny i Kazimierza Słomińskich przyciąga wzrok estetyczną twardą okładką, na której widnieje urokliwe zdjęcie zachodu słońca, oglądanego poprzez pojedyncze źdźbła traw (motyw powtórzony wewnątrz tomiku w grafice Andrzeja Taranty), wzbudzającego uczucia nostalgii i zadumy. Fotografia jest autorstwa samego poety – ekonomisty z wykształcenia, z zawodu bankowca, członka Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku od 2008 roku – który dał się nam poznać także jako znakomity fotografik mający już za sobą wystawy fotograficzne (a ostatnio także jako dobrze zapowiadający się rzeźbiarz). Tytuł jest adekwatny do zawartości, która penetruje zagadkę bytu, skupiając się właśnie na wzajemnych relacjach między ziemią (czyli doczesnością, światem materialnym), niebem (czyli Bogiem, wiecznością) a człowiekiem. Książkę autor zadedykował „dobrym ludziom”, co wiele mówi o nim samym i o jego systemie wartości.

Tomik składa się z 45 wierszy zgrupowanych w pięciu rozdziałach. Rozdział I zatytułowany „Ku harmonii uczuć” zawiera 9 utworów, w których podmiot liryczny snuje filozoficzne refleksje o życiu, kondycji człowieka, jego miejscu w świecie i przeznaczeniu. Zastanawia się nad sensem istnienia człowieka, którego życie – pełne poświęceń, podejmowania decyzji, czynów dziesiątków lat, gonitwy w wyścigu, pełne zmiennych jak chmury myśli, uczuć, niespełnionych marzeń – ostatecznie ujęte jest w jedną krótką jak westchnienie

kreskę, zapisaną „pomiędzy datą / śmierci i urodzin” (to odwrócenie jest ważne). Zadaje pytanie, czy w ogóle warto żyć, i, jak się wydaje, odpowiedź znajduje dopiero przekraczając granice doczesności; zgodnie z chrześcijańskim systemem wartości, dla którego doczesność w każdym jej aspekcie (praca, poznanie, wola, sprawiedliwość itp.) jest czymś niedokończonym, jedynie początkiem drogi, wymagającym dopełnienia w życiu przyszłym, wiecznym. Bez tego dopełnienia, wyższego celu, istnienie rzeczywiście nie miałoby sensu. Inaczej przedstawia się życie ziemskie w świetle wiary. Pisze poeta: „wiara dodaje sił / a siły dodają wiary // doświadczam czegoś / czego nikt / nie może mi dać / ani / odebrać”. Podmiot liryczny świat, a nawet siebie poznaje dopiero wtedy, gdy poznał Boga: „świat od dziś ma inny wymiar // nie znałem też / siebie”. Dopiero teraz, gdy oddaje się Bogu, jest mu łatwiej żyć, czuje się wolny, osiąga „harmonię uczuć”: „wstaję z kolan / i przekraczam próg // bez kłamstwa // nabieram powietrza – bo takie lekkie // podnoszę głowę – to takie łatwe / otwieram oczy – jasność // nogi uwolnione z pęt / kroczą same // jestem Twój”. Taki stan pomaga osiągnąć modlitwa. Autor bardzo dyskretnie pisze o Bogu, nie nazywając Go wprost, lecz tylko sugerując pisownią zaimków „Ty”, „Twój” dużą literą. I chociaż nie jest to poezja stricte religijna, to jest ona przepojona na wskroś religijnością.

I jeszcze wiersze o przyrodzie, które u Dobrowolskiego nie są jedynie obrazem piękna natury (choć jest to piękny obraz), ale pełnią swoistą rolę – i tak: opis różnorodnych chmur okazuje się być naprawdę opisem ludzkich myśli, przyjaźń z pajakiem służy pokazaniu radzenia sobie z uczuciem samotności, a pełen uroku utwór „na jeziorach grzywacze” jest w istocie refleksją o naturze dostępnej naszemu doświadczeniu doczesności i tajemnicy wieczności, jakby przecuciem dotyku tej ostatniej: „płynące górą chmury / przeglądają się w wodzie / w jej błękiecie / nieba błękit podziwiają // i jeszcze biały łabędź / drobina na horyzoncie / kołysze się jak anioł / ni to na wodzie / ni to na niebie”.

Rozdział II – „Zwolnij i popatrz” (11 utworów) – jest kontynuacją i konsekwencją treści zawartych w rozdziale pierwszym. Podmiot liryczny apeluje o zatrzymanie się, refleksję, większą dbałość o wartości, o siebie samego, swoje wnętrze; zachęca do samopoznania, a tak-

że do empatii, większej uwagi i wrażliwości na drugiego człowieka. Przywołuje najwyższe autorytety – Chrystusa, świętego Maksymiliana Kolbego – uważając, że nawet w sytuacji ekstremalnej, wydawałoby się – bez wyjścia (wojna, zagłada), człowiek może i powinien zdobyć się na heroiczną postawę, bezinteresowny czyn, ze zła wydobyć dobro. Jest to możliwe, jeśli pozwoli się Bogu kierować sobą, wtedy będzie „bezsens wojny / odwrócony / w wartość ofiary / i siłę modlitwy”. Zawierzenie Bogu, między innymi przez spowiedź i rozgrzeszenie, uwalnia od lęku, daje nadzieję. Ból istnienia jest wpisany w człowieczy los, życie boli od samego urodzenia („Było ciemno”), a ponadto na człowieka czyhają różne nieszczęścia, jak: sieroctwo (i to fizyczne, gdy rodzice nie żyją, i emocjonalne, gdy dziecko zostaje odrzucone przez rodziców), wypadki losowe, choroby, niespodziewana śmierć („Smutna wigilia”, „Prezent”, „Rozdarta”, „Błądzą myśli po zakamarkach mózgu”). To wszystko uczy pokory, pozbawia egocentryzmu, a najbardziej jest to odczuwalne „pośrodku cmentarza”, w obliczu spraw ostatecznych („Pokora”). Tym samym autor przypomina przesłanie popularnej niegdyś formuły *memento mori*, stanowiącej argument przeciwko zbytniemu dążeniu ku sprawom doczesnym, przyziemnym i przypominającej o wartościach wyższych, wiecznych.

Rozdział III – „Przestrzeń której nie potrafimy ani nazwać ani wypełnić” (7 wierszy) – kontynuuje wyliczankę nieszczęść, zasadzek czyhających na człowieka w wymiarze już nie jednostkowym, ale społecznym, masowym. Są to kataklizmy, spowodowane przez żywioły przyrody czy też politykę ludzi: pożary, trzęsienia ziemi, tsunami, zamachy terrorystyczne, katastrofy. W tych utworach przejawia się szczególna wrażliwość poety na wydarzenia aktualne, jego empatia i współodczuwanie w sytuacjach ekstremalnych, wobec których człowiek jest bezradny. Co ważniejsze, Marek w takich wypadkach potrafi uniknąć nierzadkiego u innych twórców patosu, pisze prosto i wzruszająco, a jednocześnie z niezbędnym dystansem. Pochylił się także nad niezżywanymi już osobami znanymi, jak Michael Jackson czy Wiesław Kazanecki.

Najbardziej urzekł mnie rozdział IV – „Zza siedmiu snów”, zawierający 17 urokliwych wierszy miłosnych, erotyków. Emanują one niezwykle subtelną, delikatnością, ciepłem, słodyczą, uniesieniem,

namiętnością, blaskiem. Gdybym uznawała podział poezji na męską i kobiecą, powiedziałabym, że jest to „poezja kobieca” ze względu na tę szczególną wrażliwość i uczuciowość, którą przypisuje się kobietom (choć sędzę, obserwując niektóre dzisiejsze młode kobiety, że obecnie jest to już nieaktualne). Nie przypadkiem wśród utworów trafił się wiersz, w którym podmiot liryczny jest płci żeńskiej („czuję się przy tobie królową”). Jednak nie dzielę poezji według płci, a to porównanie ma służyć jedynie podkreśleniu niezwyklej wrażliwości i delikatności autora, który pokazuje, że mężczyźni także potrafią dawać, ale i potrzebują uwagi, czułości i ciepła – jak podmiot liryczny w jego erotykach. Często są to miniatury, a wśród nich takie perełki, jak ta, wyróżniona na tegorocznej Buławie: „stworzył mi ciebie / wiatr / rozplątał warkocze / uczuć // i stał się cud // przemówiłem / ustami / pełnymi / zachwytu”. Albo: „obudziło mnie słońce / miało twoje ciepło i blask // bierziesz poranny prysznic / i zmywasz resztki skrępowania // z uniesioną ręką / zza szyb kabiny / przypominasz statwę wolności // myśli falują wzdłuż tułowia // wolność nabiera smaku”.

Tomik kończy się rozdziałem „Zakwitną magnolie”, zawierającym jeden wiersz – „pomiędzy mną a śliwą” – który zdobył pierwszą nagrodę w Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza Łomża 2010. Utwór ten niejako podsumowuje całość, podkreślając znaczenie wybaczenia, modlitwy, poszanowania życia i wartości.

Teksty Dobrowolskiego cechuje jasność, zwięzłość i prostota stylu, brak w nich zbędnych ozdobników czy pretensjonalności. Czasem poeta używa potocznego języka („takie tam / przywileje człowieka”, „Głowa ćmi, nie boli, / po prostu jestem zmęczony”, „te trumny / były dziwne jakieś”). Nie stroni jednak i od stylu wysokiego, stosując z rzadka poetyzmy, a często inwersję: „wiatrom posłuszne / ich wolę niosą”, „chmury / przeglądają się w wodzie / w jej błękicie / nieba błękit podziwiają”, „słodycz / w głębi serca / skrywana”. Charakterystyczne dla autora jest częste stosowanie zaskakującej puenty, jak na przykład w wierszach: „zmiennie są” (opis chmur okazuje się opisem ludzkich myśli), „myślnik”, „zwolnij i popatrz” (dziecko „czułości spragnione”, potrzebujące uwagi – to dziecko wewnętrzne), „Było ciemno”, „Smutna wigilia”, „Prezent”, „Błądzą myśli po zakamarkach mózgu”, „Wymarzona podróż” (tytułowa wymarzona podróż okazuje

się podróżą ostatnią – na cmentarz), „Haiti” i w wielu innych. Niekiedy da się zauważyć leciutką nitkę ironii czy żartu – nie przypadkiem, ponieważ Dobrowolski uprawia także satyrę – pisze fraszki, limeryki, moskaliki, a także aforyzmy.

---

Marek Dobrowolski. Między ziemią niebem a mną. Redakcja: Irena i Kazimierz Słomińscy. Białystok 2010

---

## Noty o autorach

**Janusz Andrzejczak** – ur. w 1956 r. w Toruniu. Nauczyciel i wychowawca internatu. Źródłem jego inspiracji jest wiara i przyroda w szczególności Polski północno-wschodniej.

**Małgorzata Iwanowicz** – absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego, doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczyciel akademicki, bibliofil, członek Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Autorka podręczników, słowników oraz książek naukowych i edukacyjnych z zakresu ortografii, praktycznej stylistyki, słownictwa oraz frazeologii.

**Krystyna Konecka** – ur. w Dobiegniewie. Poetka, dziennikarka, fotograf. Absolwentka Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Jej debiut poetycki przypadł na 1972 r. Autorka książek, arkuszy poetyckich i reporterskich (m.in.: *Sonety codzienne*, *Pory mroku*, *Powrót z Erolandu*, *Ślady na jeziorach*, *Sonety litewskie*, *Znad Wilii*, *Miejsca*, *Cisza*, *Żegnaj, Kornwalio*, *Ogrody Szekspira*. *Shakespeare's Gardens*, *Koreański koń Czollima*, *Kraj porannej ciszy*). Jej wiersze prezentowane są w kraju i za granicą. W 2010 r. został wydany tom poświęcony pamięci Izabeli Branickiej pt.: *Izabelle, mon amour*.

**Danuta Bartosz** – poetka, prawnik, dziennikarz SPP, członek Wielkopolskiego Oddziału Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Romana Brandstaettera. Autorka tomików wierszy m.in.: *Usłyszeć jej szept* (2007), *Rozbłyśki świtu* (2007), *Brzegiem wiary* (2008), *Łzy kamieni* (2008) i innych.

**Irena Batura** – ur. w 1950 r. w Rzeszowie. Absolwentka Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Pracowała jako bibliotekarka. Obecnie zajmuje się pisaniem przewodników turystycznych i esejów krajoznawczych o ziemi augustowskiej i sejneńskiej.

**Andrzej Salnikow** – ur. w 1960 r. w Białymstoku. Ukończył filozofię na UMCS w Lublinie. Współzałożyciel Pisma Literacko-Społecznego *Fraza* (Rzeszów). Jego utwory były publikowane w rzeszowskim

dzienniku „*Nowiny*”, „*Frazie*” oraz „*Twórczości*”. W 2010 r. ukazał się jego tomik poetycki *Ptakodrzew czyli Dojrzewanie*.

**Leonarda Szubzda** – nauczycielka języka polskiego. Autorka tomików poezji: *Jeszcze idziemy* (1992), *Żałuję lasów i róż* (1994), *Tylko sady nas pamiętają* (1996) oraz *Ile życia* (1998).

**Zbigniew Patryk** – ur. w 1954 r. w Białymstoku. Od 1994 r. przebywa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Poeta, fotograf. Debiutował w latach 70. XX w. na łamach prasy literackiej w USA. Autor *Wściekłego lamentu* (1992), *Bluźnierczego karnawału* (1998) i *Piegowatego nieba* (2002).

**Józefa Drozdowska** – ur. w 1954 r. w Jeziorkach k. Augustowa. Autorka wierszy, bibliografii, małych form prozatorskich i dziennikarskich. W 1997 r. za książkę dla dzieci *Rozmowy z Izabelką*, otrzymała Nagrodę Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach. W 2005 r. przyznano jej Nagrodę Literacką Białostockiego Gryfa. Wydała m.in.: *Dolina mojej rzeki* (1988), *Miejsce zamieszkania* (1992), *Rozmowy z Izabelką* (1996), *Rzeka Siloe* (1998), *Wyjaśniając siebie* (2010).

**Anna Gniewkowska** – ur. w Białymstoku. Z wykształcenia laryngolog. W 1995 r. zadebiutowała powieścią *Szary odcień bieli*. W kolejnych latach wydane zostały jej następne powieści *Posmak czasu* (1996), *Dotyk motyla* (1997) oraz szkice literackie *Wielkie złudzenia* (2008). Za opowiadania *Epizody* (2000) została nominowana do nagrody im. Wiesława Kozaneckiego.

**Claudia M. Stanek** – poetka amerykańska, jest wnuczką polskich emigrantów z początku XX wieku. Jej poezja koncentruje się wokół miejsca, szczególnie miejsca pochodzenia jej przodków, jej własnych korzeni jak również miejsca w stanach psychicznych i emocjonalnych. Latem 2010 r. pierwszy raz odwiedziła kraj przodków, w tym Białystok. Czas spędzony w Polsce pozwolił jej odkryć nowy sens (nowe rozumienie) miejsca w kontekście rozwoju, jaki nastąpił w Polsce od czasu, kiedy jej przodkowie emigrowali do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszka i tworzy. Jej prace były publikowane w wielu magazynach literackich w USA.

## noty o autorach

**Ołena Paszuk** – ur. 1982 roku w Łucku (Ukraina), poetka, autorka tomików wierszy: *Za powrotem moho pohljadu* (2000), *...i nimi ople-sky* (2004), *Sołoni hnizda* (2005), *Sedmycia* (2008). Członek Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy, Oddziału w Łucku.

**Vincente Vaya Castillejos** – ur. w 1926 r. w La Gineta w Hiszpanii. Emerytowany nauczyciel języka hiszpańskiego w szkołach podstawowych, kapłan parafii św. Antoniego M. Zacarii w Madrycie. W 1999 r. zadebiutował tomikiem wierszy pt.: *Poranek Pana*. Ponadto jego poezja publikowana jest na łamach czasopisma „Mundo Barnabítico”. Wydał m.in. *Atardecer del hombre* (2002), *Más allá de las estrellas* (2006), *Hacia los astros* (2008) i inne.

**Helena Ostaszewska** – ur. w 1922 r. w Choroszczy. Absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Tworzy od lat szkolnych. Porządkowaniem dorobku zajęła się dopiero po śmierci męża. Laureatka odczytów pedagogicznych i konkursów literackich. Autorka kilkunastu książek.

**Krystyna Gudel** – emerytowana nauczycielka kształcenia zintegrowanego i języka polskiego. W 2003 r. debiutowała tomem Sady *pozostawione* W 2008 r. wydany został jej kolejny wolumin *Stopy na ścieżkach*.

**Joanna Dawidziuk** – ur. w 1969 r. w Grodzisku nieopodal Drohiczy-na. Z wykształcenia teolog. Jej debiut poetycki przypadł na rok 2004. Współautorka zbioru poezji *Ona* (2007).

**Grażyna Cylwik** – ur. w 1948 r. w Białymstoku. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku.

**Marek Dobrowolski** – ur. w 1962 r. w Białymstoku. Z wykształcenia ekonomista, z zawodu bankowiec, z zamiłowania poeta. Literackim debiutem wydawniczym poety jest tomik *Między ziemią niebem a mną* (2010). Amatorsko zajmuje się fotografią i rzeźbiarstwem.

**Barbara Gałczyńska** – Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Z zawodu nauczyciel geografii, przewodnik turystyczny, pilot wycieczek krajowych i zagranicznych. Autorka miniatur lirycznych i felietonów.



**Witold Wawrzyniec Miedziak-Herodowicz** – ur. w 1990 r. w Poznaniu. Student Historii Sztuki Uniwersytetu im. A Mickiewicza w Poznaniu, członek Klubu Młodego Literata przy ZLP Oddział w Poznaniu.

**Damian Eom Nowicki** – ur. w 1990 r. w Gdyni. Student Historii Ogólnej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członek Klubu Młodego Literata przy ZLP Oddział w Poznaniu. Autor debiutanckiego tomiku *Cztery twarze człowieka* (2010).

**Eligiusz Buczyński** – ur. w 1978 r. w Białymstoku. Poeta, bibliotekarz. Autor tomiku wierszy *Oddechy* (2006). Jego poezja publikowana była w następujących pismach literackich: „Odra”, „Akant”, „Portret”.

**Ida Matysek** – uczennica Publicznego Gimnazjum w Białowieży.

**Joanna Pisarska** – ur. w 1961 r. katechetka, z wykształcenia inżynier budownictwa lądowego. Autorka tomiku wierszy *Wróć tu jeszcze* (2003), rozważań *Dróg Krzyżowych* opublikowanych w książce pt.: *Szkolne rekolekcje wielkopostne* (2000) oraz licznych artykułów.

**Sabina Alicja Kowalewska** – ponad 20 lat życia spędziła na emigracji w Kanadzie. Jest autorką: *Rzeczywistość* (2005), *z bezsennych nocy* (2005), *Zawsze będziesz Źródłem* (2008), *Mały kalejdoskop* (2010).

**Irena Słomińska** – ur. w 1948 r. w Siemiatyczach. Absolwentka Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego, członek Związku Literatów Polskich. Jako poetka debiutowała w 1975 r. Opublikowała arkusz poetycki *Stopa za stopą* (1976) oraz następujące tomiki wierszy: *Granice* (1990), *Powracają ogrody* (1994), *A przecież jest jeszcze miłość* (1999).

**Regina Świtoń** – emerytowana nauczycielka języka polskiego. Wydała m.in.: *Strofy o mojej ziemi* (2005), *W tęczowych szufladach* (2008), *Uśmiechnięty świat* (2010).

**Józef Suchocki** – poeta, emerytowany nauczyciel katecheta. Absolwent Wyższych Studiów Teologicznych w Warszawie.

## noty o autorach

---

**Włodzimierz Sawczuk** – ur. w 1956 r. w Kuzawie, nieopodal Czeremchy. Autor tekstów w języku polskim i białoruskim m.in.: *W gościnie* (2006), *Mój wyraj* (2007), *Łatwo powiedzieć* (2009).

**Janina Puchalska-Ryniejska** – ur. we wsi Świridy. Członek Klubu Poetów i Pisarzy Ludowych, mieszczącego się przy Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury w Białymstoku. Autorka tomików poezji: *Dogonić czas* (2002), *Po ziemi idę* (2006).

**Paweł Oniszczyk** – ur. w 1992 r. w Chicago. Uczeń III Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku.

**Ryszard Kondratowicz** – mieszka w Augustowie

**Anna Woszczenko** – uczennica Publicznego Gimnazjum Nr 8 Zespołu Szkół Ogólnokształcących Mistrzostwa Sportowego im. Marii Konopnickiej w Białymstoku.

**Paulina Żarska** – ur. w 1990 r. w Augustowie. Studentka Politechniki Białostockiej.

**Kazimierz Słomiński** – ur. w 1948 r. w Hornikach. Absolwent Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Gdańskiego, członek Związku Literatów Polskich, pracownik dydaktyczny Uniwersytetu w Białymstoku. Debiutował w 1971 r. Autor aforyzmów.

**Roman Kowalewicz** – ur. w 1959 r. w Białymstoku. Z zawodu technik włókiennik. Jego debiut poetycki przypadł na 2007 r. Autor poezji, prozy i aforyzmów.

**Regina Kantarska-Koper** – ur. w 1946 r. w powiecie przasnyskim. Emerytowana nauczycielka języka rosyjskiego, członek Związku Literatów Polskich. Wydała m.in.: *Między tak i nie* (1992), *Niech nie ogarnie mnie ciemność* (2000), *Krople tęczy* (2002).

# Spis treści

Janusz Andrzejczak	
Ballada o Genku .....	5
Zagubieni .....	17
Małgorzata Iwanowicz	
Schody .....	26
Krystyna Konecka	
Theatrum funebris.....	44
Uśmiech Cypryanny .....	45
Zawsze obcy .....	46
Kręgi piekła .....	47
Danuta Bartosz	
Zatrzymać się .....	48
Tęsknota słowa .....	49
Papużki nierozłączki.....	50
* * * Byłeś .....	50
* * * Słucham ciszy ścian .....	51
* * * Skąd czerpać siłę .....	51
Irena Batura	
Przemijanie.....	52
Inna pieśń.....	54
By chronić szarą godzinę wspominam .....	55
Dziwak jestem.....	56
Modlitwa z Kurianki .....	58
Largo spod Prostek.....	60
Liczby .....	62
Andrzej Salnikow	
Ikos .....	63
Wiara .....	63
Mario .....	64
Wynurzenia.....	64

Leonarda Szubzda	
Wysłuchane w sadzie.....	65
Zofia Wróblewska	
Z Vivaldim.....	68
Piąty Beatles.....	68
Zbigniew Patryk	
praca.....	69
przed śmiercią.....	70
Józefa Drozdowska	
Cię Przyjaciela.....	71
Do ks. Jerzego Popiełuszki.....	72
Kontemplując winorośl z Krzyża św. Brunona.....	73
Madonna znaleziona na strychu.....	74
Miłość.....	74
Impresja.....	75
Narodziny wiersza.....	76
Anna Gniewkowska	
* * * Jeszcze w uszach mam brzęk filiżanek.....	78
Claudia M. Stanek	
Appendage.....	89
Dodatek.....	89
Alive.....	90
Życie.....	90
Ołena Paszuk	
* * * nas nic nie łączy.....	91
* * * przyniosłeś dla mnie.....	92
* * * mam obiecane że jutro.....	92
* * * kobieta co nie umiała płakać.....	93
* * * zapewne jeszcze kiedyś.....	94
Vincente Vaya Castillejos	
Jakże Cię kocham, Mamo!.....	95
Bóg zawsze jest w świtaniu.....	98
Modlitwa.....	100
Pozostań z nami Panie.....	101

Helena Ostaszewska	
Już tylko we mnie.....	102
Krystyna Gudel	
Dyptyk o babci Cyryli.....	106
Śliwkowa babcia.....	106
Babcia Cyryla cieszy się i smuci.....	107
Nie prowadzi dialogu.....	107
* * * zużyty dzień.....	108
Zbyt wiele dioptrii.....	108
Pod prąd.....	109
Miedza jaką pamiętam.....	110
W zwierciadle Białki.....	111
W poszukiwaniu czarnej huby.....	112
* * * poranna kawa.....	113
Joanna Dawidziuk	
* * * Puszcza oddycha.....	114
* * * to nieprawda.....	114
Grażyna Cylwik	
* * * Żaluzja jak rzęsa.....	115
Nadzieja.....	115
Ulica w deszczu.....	116
Wiosna.....	116
Lato.....	117
Marek Dobrowolski	
* * * myślnik.....	118
* * * chcę.....	119
* * * pomiędzy mną a śliwą zawsze wisi hamak... ..	119
Barbara Gałczyńska	
Cztery pory roku.....	120
Tuż obok.....	121
Słoneczny koncert.....	121
Lato.....	122
Wiatr.....	122
Witold Wawrzyniec Miedziak-Herodowicz	
Wenus i Mars.....	123

Damian Eom Nowicki	
Piękna Czerń.....	124
Eligiusz Buczyński	
* * * siedzę przy uchylonym oknie .....	125
* * * przemierzamy długość i szerokość .....	125
* * * nagły atak słonecznych promieni .....	125
* * * czarna farba odchodzi .....	126
Ida Matysek	
* * * Wystraszone anioły .....	127
Amor i Kosiarz.....	127
Czterej Jeźdźcy Apokalipsy.....	128
Do czasu.....	129
Homo myśli słów.....	130
Krzyk.....	130
Jesienny las .....	131
Do człowieka.....	131
O chłopie i młocie.....	132
O wieszcu z kleszczem idącymi przez burzę.....	133
Joanna Pisarska	
Kiedy myślę Nazaret.....	134
* * * Twoje zwiastowanie .....	134
* * * jeszcze się nie narodziły .....	134
* * * kiedy przychodzisz.....	135
* * * ciepło Boga.....	135
* * * Maryjo .....	135
Sabina Alicja Kowalewska	
Prowadź nas gwiazdo.....	136
Irena Słomińska	
* * * tutaj liczy się nawet puszka .....	137
* * * tworzyłeś mnie przez długie lata .....	138
* * * czuję twoją obecność duszną .....	139
* * * to tylko szare niebo błotnistych krajobrazów .....	140
* * * i gdzie są twoje bunty wyblakły prometeusza .....	141
Jesień .....	142

Regina Świtoń	
„i” .....	143
Las.....	143
* * * nad horyzontem śniegi błyszczą .....	144
Józef Suchocki	
Przy grobie św. Brunona.....	145
Wzgórze Świętego Brunona.....	146
Ewa Danuta Stupkiewicz	
* * * za oknem .....	147
Przemijanie.....	147
Trwam.....	148
* * * Niebo uparcie płacze .....	148
Włodzimierz Sawczuk	
* * * Pod tą kładką .....	149
Kiedy jestem sam... ..	150
Prawdo! – dokąd odeszłaś... ..	151
Janina Puchalska-Ryniejska	
Życie.....	152
* * * popatrz .....	153
* * * półmrok .....	154
* * * ukryte .....	155
W puszczy .....	156
Paweł Oniszczyk	
Ogień na skałach.....	157
Z pamiętnika kartografa.....	158
Perypetie .....	159
Kulturalny melanż.....	160
Impresja.....	161
Ryszard Kondratowicz	
Lotos .....	162
Anna Woszczenko	
Niespełniona Miłość.....	163
Wśród wierzb.....	163
W próżni.....	164

Paulina Żarska	
Stosunek miłości .....	165
* * * ...pomóż jej, pomóż nim dzień was zaskoczy .....	165
VI Otwarty Konkurs Poetycki „Majowej Konwalii” im. Ks. Ryszarda	
Kotkowicza.....	166
Danuta Zasada .....	167
Miroslaw Puszczykowski .....	169
Aforyzmy .....	170
Roman Kowalewicz .....	171
Kazimierz Słomiński .....	173
<b>Recenzje Reginy Kantarskiej-Koper</b>	
„Ziemia pełna łaskawości”, czyli kilka uwag o antologii	
białostockiego NKL.....	175
Za duża o jeden numer wrażliwość .....	180
Ku boskiemu światłu .....	183
Ku błękitnemu niebu .....	189
Między ziemią, niebem a człowiekiem.....	193
Noty o autorach .....	198